ŚWIATOWE ŻYCIE®

Caitlin Crews

Hiszpański bal

HARLEQUIN®

Caitlin Crews

Hiszpański bal

Tłumaczenie: Anna Dobrzańska-Gadowska

HarperCollins Polska sp. z o.o.
Warszawa 2021

Tytuł oryginału: *Secrets of His Forbidden Cinderella*

Pierwsze wydanie: Harlequin Mills & Boon Limited, 2020

Redaktor serii: Marzena Cieśla

Opracowanie redakcyjne: Marzena Cieśla

© 2020 by Caitlin Crews
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2021

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A. Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiejkolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiekolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Harlequin i Harlequin Światowe Życie są zastrzeżonymi znakami należącymi do Harlequin Enterprises Limited i zostały użyte na jego licencji.

HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A. Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.

02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 34A

www.harpercollins.pl

ISBN 978-83-276-6436-5

Konwersja do formatu EPUB, MOBI: Katarzyna Rek / Woblink

ROZDZIAŁ PIERWSZY

– Jego ekscelencji nie ma w domu, proszę pani. – Lokaj pociągnął nosem i obrzucił gościa otwarcie niechętnym spojrzeniem. – Nie można tak po prostu wpaść z niezapowiedzianą wizytą do księcia Marinceli, dziewiętnastego noszącego ten tytuł, najszlachetniejszego granda Hiszpanii.

Amelia Ransom, ceniona jedynie przez najbliższych przyjaciół, bez względu na swoje niewątpliwie niskie pochodzenie, zmusiła się do uśmiechu.

– Wiem, że książę jest w domu – oświadczyła.

Jej znajoma, która mieszkała w jednej z okolicznych wiosek, poinformowała ją, że przed dwoma dniami należący do księcia samolot został zauważony w trakcie podchodzenia do lądowania. Poza tym nad rezydencją od dwóch dni powiewała flaga z rodowym herbem, a to oznaczało, że książę przebywa w domu.

– Źle mnie pani zrozumiała – odparł służący grobowym, przesyconym oburzeniem głosem, na dźwięk którego Amelia powinna z zawstydzeniem ukryć twarz w dłoniach i oddalić się truchcikiem.

I może faktycznie tak by się właśnie zachowała, gdyby nie to, że Teo de Luz, grand Hiszpanii, był jej przybranym bratem.

– Jego ekscelencji nie ma w domu dla pani – dokończył lokaj.

Kusiło ją, by na tym zakończyć sprawę. Nie dla przyjemności odbyła długi, męczący lot z San Francisco do Paryża, skulona na ostatnim miejscu, jakie linie lotnicze miały do zaoferowania, a następnie już znacznie krótszy

z Paryża do Madrytu, nie dla zabawy wynajęła samochód, by poprzez łagodne wzgórza dotrzeć do posiadłości, która od wieków znajdowała się w posiadaniu rodziny de Luz.

– Myślę, że jego ekscelencja jednak zechce się ze mną zobaczyć – powiedziała, siląc się na spokój. – Naprawdę. Proszę go zapytać.

– Wykluczone – oznajmił mężczyzna lodowatym tonem. – Nie mam pojęcia, w jaki sposób wdarła się pani na teren posiadłości i dotarła aż tutaj, by dobijać się do drzwi rezydencji zupełnie jak… Zupełnie jak jakiś komiwojażer.

Zabrzmiało to tak, jakby praca komiwojażera była straszliwą przypadłością zdrowotną, czymś w rodzaju syfilisu albo jeszcze gorzej.

Gdyby służący wiedział, z jaką wiadomością przybyła Amelia, niewątpliwie przeżegnałby się pośpiesznie i może nawet splunął na ziemię… Zrozumiałaby taką reakcję, ponieważ sama miała podobne odczucia.

– Rozumiem, że za wszelką cenę chroni pan księcia przed wielbicielkami, które w każdej chwili mogą się starać go dopaść. – Uśmiechnęła się pogodnie, jakby lokaj był przyjaźnie nastawiony i gotowy wysłuchać jej argumentów. – W tej chwili jest chyba najpopularniejszym kawalerem na świecie, więc nawet się specjalnie nie dziwię.

Nieraz była świadkiem zamieszania, co wyprawiały kobiety w obecności Tea, i to jeszcze na długo, zanim odziedziczył książęcy tytuł. Właśnie dlatego nie próbowała przejechać przez główną bramę, o całe kilometry oddaloną od rezydencji, która w pełni zasługiwała na miano pałacu – tamtej bramy strzegli ochroniarze, mający za zadanie nie wpuszczać nieproszonych gości.

Amelia odpowiednio wcześnie skręciła w jedną z zapomnianych alejek, z której korzystali przede wszystkim główny łowczy i jego personel,

a potem zostawiła wynajęte auto nad jeziorem, w miejscu, gdzie dawniej lubiła czytać. Stamtąd poszła pieszo, chcąc przewietrzyć głowę zmęczoną długim lotem i brakiem snu i przygotować się do czekającej ją rozmowy. Pewnie powinna była obmyśleć bardziej szczegółowy plan działania, ale nie zrobiła tego. Trudno.

Służący wyjął z kieszeni marynarki wąski smartfon, z niewątpliwym zamiarem wezwania ochrony. Tego Amelia nie chciała.

– Pewnie bierze mnie pan za jedną z fanek Tea – powiedziała szybko – ale ja jestem jego przybraną siostrą.

Lokaj nie zionął wprawdzie ogniem, protestując przeciwko nazwaniu księcia pana jego imieniem, ale zmierzył ją lekceważącym spojrzeniem.

– Książę nie posiada przybranej siostry.

– Byłam nią jakiś czas temu – wyjaśniła dziewczyna. – Sądzę jednak, że pewnych więzi nie da się zerwać razem z małżeństwem, prawda?

Jej uśmiech przygasł, ponieważ mężczyzna nadal patrzył na nią tak, jakby była gadającym szczurem.

– Mocno wątpię, czy jego ekscelencja uznaje jakiekolwiek więzi tego rodzaju – wycedził. – Pokrewieństwo łączy jego ekscelencję jedynie z przedstawicielami rodów arystokratycznych, a nawet królewskich, i wszystkie te koneksje są zapisane w oficjalnych dokumentach. Nie ma w nich żadnej wzmianki o jakichś przybranych siostrach.

W tej sytuacji nie pozostało jej nic innego, jak tylko wyciągnąć asa z rękawa.

– Ale nie wie pan, co Teo myśli o różnych rodzinach, z którymi jego ojciec związał się przez małżeństwa, mam rację? Naprawdę chce pan mnie odprawić, nie zapytawszy księcia o zdanie?

Długą chwilę oboje patrzyli na siebie w milczeniu, czekając, kiedy to drugie wreszcie się podda.

Amelia żałowała, że nie zatrzymała się gdzieś, żeby przynajmniej trochę się odświeżyć. W San Francisco wrzuciła na siebie to, co akurat wpadło jej w ręce, i obawiała się, że teraz było to widać. Nie przejmowała się, że Teo zobaczy ją w zmaltretowanym po podróży ubraniu, powinna była jednak pamiętać, że służący w takich rezydencjach są znacznie większymi snobami niż ich wysoko urodzeni pracodawcy. Jej wełniana kurtka skutecznie osłaniała przed zimnym styczniowym wiatrem, ale była już mocno znoszona, dżinsy, w których spała w samolocie, najlepsze chwile miały za sobą i były aż nadto wyraźnie amerykańskie, a buty, w domu czyste i całkiem porządne, teraz, w bladym świetle hiszpańskiego poranka, wręcz domagały się różnych związanych z pastą zabiegów.

Wszystko to było wyraźnie widoczne, szczególnie w obliczu faktu, że pałac rodu de Luz przypominał budowlę z bajki. Posiadał wieżyczki i wyniosłe wieże, skrzydła z jednej i drugiej strony, a otoczony był nienagannie utrzymanymi trawnikami, sięgającymi aż po horyzont.

Wszyscy mężowie matki Amelii byli utytułowanymi dżentelmenami, przedstawicielami rodów z najwyższymi koneksjami, celebrytami i politykami, których sławetna Marie French oczarowała, rzuciła na kolana, a następnie zostawiła, jednak żaden nie zrobił na dziewczynie tak wielkiego wrażenia jak Luis Calvo, osiemnasty z kolei książę Marinceli, ojciec Tea. W czasie trwania tego małżeństwa nastoletnia Amelia znalazła się w samym środku świata rodziny de Luz, niesłychanie arystokratycznego, bogatego i ekskluzywnego.

Doświadczenie to okazało się równie ekscytujące, co niszczące. Marie zawsze wybierała bardzo bogatych mężczyzn, lecz rozmiary majątku rodu de Luz trudno było sobie wyobrazić. Majątek ten gromadziło i konsolidowało dziewiętnaście pokoleń potężnych, niezwykle wpływowych ludzi.

Po rozwodzie z Luisem Calvo Amelia nie wróciła do równowagi równie szybko jak po innych małżeństwach, które na przestrzeni lat zawierała jej matka. I chodziło tu nie tylko o sam związek, ale i o to szczególne, urokliwe miejsce, a jeszcze bardziej o mężczyznę, który mieszkał tu teraz, odziedziczywszy je po śmierci ojca. Mężczyznę, o którym starała się zapomnieć tak intensywnie, lecz problem, jaki powstał w rezultacie tych starań, okazał się jeszcze większy.

Przyjechałam tu, żeby wypracować jakieś rozwiązanie, powiedziała sobie.

Teo de Luz, kiedyś jej ponury, surowy i wrogo nastawiony przybrany brat, obecnie książę, jeden z najwyżej postawionych grandów Hiszpanii, nie należał do ludzi, na których można natknąć się gdzieś przypadkiem. Nie można było liczyć, że spotka się go w jakiejś kawiarni, pewnie dlatego, że był właścicielem połowy plantacji kawy w Kenii. Nie zaglądał do publicznych siłowni i nie zniżał się do jadania w restauracjach czy barach. Teo zatrudniał szoferów, latał własnymi odrzutowcami, sklepy zamykano, by mógł spokojnie dokonać zakupów, restauracje oferowały mu prywatne sale, a w tych nielicznych popularnych miejscach, gdzie nie posiadał własnych rezydencji, zatrzymywał się w wynajętych, ustronnych willach, nigdy w publicznych hotelach.

Instytucje, w których szukał rozrywki, nie umieszczały tablic z nazwami na swoich drzwiach. Wybrani wiedzieli, gdzie ich szukać, a inni nie, po prostu.

Jako córka Marie French, Amelia dorastała w bezpośrednim sąsiedztwie wielkich fortun, ale nigdy z nich nie korzystała. Jej matka cieszyła się wątpliwą sławą z powodu swoich licznych rozwodów i z pewnością zgromadziła przyjemną sumkę z alimentów, ugód rozwodowych, biżuterii oraz nieruchomości, podarowanych przez tego czy innego kochanka, lecz

bogactwo i wpływy będące w posiadaniu rodziny de Luz znajdowały się całkowicie poza jej zasięgiem, także i dlatego, że takiej potęgi nie była w stanie zbudować jedna osoba.

Coś takiego wymagało pracy dwudziestu pokoleń.

Gdyby Amelia mogła cofnąć czas lub wymazać związany z Teem fragment swojej przeszłości, nie wahałaby się ani chwili. Niestety, było to myślenie życzeniowe.

– Proszę powiedzieć Teowi, że to ja – poleciła z uśmiechem górującemu nad nią mężczyźnie. – Amelia. Jego ulubiona przybrana siostra.

Doskonale wiedziała, że nie jest ulubioną przybraną siostrą Tea i że zwykła ludzka sympatia w ogóle nie wchodzi tu w grę, ale tą informacją nie zamierzała się z nikim dzielić. Poczuła, jak zimny wiatr kąsa jej nogi i przez głowę przemknęła jej myśl, że lokaj zaraz zatrzaśnie jej ciężkie odrzwia przed nosem i wezwie ochroniarzy, by usunęli ją z terenu książęcej posiadłości.

Miała nawet nadzieję, że tak się stanie. Bo przecież to, że przyleciała do Hiszpanii, zapukała do jego drzwi i podjęła próbę przekazania mu wiadomości, którą musiała mu przekazać, powinno być wystarczające. Najzupełniej, a nawet aż nadto.

Nie mogła zrobić nic więcej. Nie jej wina, że Teo postanowił zabarykadować się w swojej rezydencji.

Ostatniej jesieni był bardziej przystępny, odezwał się cichy głos w jej głowie. Chyba głos sumienia, niestety.

Ostatnim razem była tu pod koniec września. Zjawiła się pod osłoną nocy, wtapiając się w tłum, który kłębił się na terenie posiadłości z okazji maskarady, którą organizowano tu każdej jesieni dla upamiętnienia urodzin dziesiątego księcia Marinceli. Pałac jaśniał w ciemności niczym jakaś fantastyczna budowla.

Przyjechała tu wtedy w zupełnie innym celu. Upatrywała w tej wizycie jedyną okazję do przeprowadzenia czegoś w rodzaju egzorcyzmu i zrobiła wszystko, by odnieść sukces. Ubrała się w zupełnie nie swoim stylu, posunęła się nawet tak daleko, że ufarbowała włosy i włożyła barwione szkła kontaktowe, ponieważ miała fiołkowe oczy matki, oczy, które ludziom raczej zapadały w pamięć.

Przez następne miesiące szczerze sobie gratulowała. Cóż, czasami terapia wstrząsowa była najskuteczniejszą metodą. I nawet gdy zrozumiała, co tak naprawdę zrobiła, nie żałowała swojej decyzji, lecz tylko jej rezultatu.

Jednak teraz, blisko południa tego zimnego dnia, nie czuła się najlepiej. Tę część Hiszpanii smagała ponura zimowa burza, która sprawiła, że jazda samochodem z Madrytu nie była łatwa. W górach drogi były oblodzone i Amelia musiała naprawdę bardzo uważać. Nie miała wielkiej ochoty na podróż powrotną w takich samych warunkach, szczególnie jeśli nie udałoby jej się zdobyć tego, po co przyjechała.

Zawsze mogła jeszcze wynająć pokój w jakimś hotelu albo opracować nowy plan, jak porozmawiać z Teem, albo po prostu wrócić do domu i stawić czoło nowemu życiu. Zaczęła się już zastanawiać, jak będzie ono wyglądać, kiedy służący cofnął się i skinął głową.

Niechętnie, ale jednak.

– Proszę zaczekać tutaj – powiedział, gestem zapraszając ją do holu, niepodobnego do żadnego innego.

Zawsze wydawało jej się, że jest jak sala balowa, z żyrandolami, lustrami w pięknych ramach i mozaikowymi ścianami. Rezydencja rodziny de Luz nie robiła szczególnie przyjaznego wrażenia, raczej odwrotnie – była to forteca, twierdza, miejsce schronienia pozbawionego tronu władcy, przyjścia na świat królowej oraz scena wielu innych dramatycznych

wydarzeń, o których nastoletnia Amelia z wypiekami na twarzy czytała w długie, samotne zimowe wieczory.

Z holu przechodziło się prosto do olbrzymiej, zajmującej trzy piętra biblioteki, bogatszej niż wiele uniwersyteckich kolekcji.

Amelia uśmiechnęła się do lokaja, nieco nieszczerze, to prawda, lecz on nie odwzajemnił się tym samym. Cicho zamknął ciężkie drzwi, wskazał dziewczynie kamienną ławę pod ścianą i w milczeniu czekał, aż usiądzie.

– To prywatny dom, proszę pani, nie muzeum – oświadczył. – Z całą pewnością nie jest otwarty dla zwiedzających. Proszę się stąd nie ruszać, rozumie pani?

– Oczywiście. – Amelia lekko ściągnęła brwi, zupełnie jakby taka myśl była jej całkowicie obca.

Dziesięć lat temu, kiedy pałac był jej domem, przynajmniej z nazwy, również nie czuła się tu swobodnie. Teo bynajmniej nie ukrywał przed nią, że nie jest tu mile widziana, a jego chłodny, pełen dystansu ojciec interesował się wyłącznie swoją świeżo poślubioną żoną. Służba miała własne zdanie na temat osławionej Marie French i z pewnością nie cieszyła się, że ktoś taki został ich nową panią. Nastoletnia córka Marie była tylko, w najlepszym razie, ofiarą w tej dziwnej wojnie, a w każdym razie właśnie tak się czuła.

Wiecznie poważny, pełen nieskrywanego niesmaku Teo, ze swoimi ognistymi czarnymi oczami, orlim arystokratycznym nosem i zmysłowymi wargami nawiedzał jej sny częściej, niż chciałaby się do tego przyznać. Znaczenie tych snów zrozumiała dopiero znacznie później, lecz to niewiele jej pomogło.

Zeszłego lata podjęła próbę dokonania dużych życiowych zmian. Przede wszystkim na dobre osiadła w San Francisco – nie chciała więcej podróżować z matką, zmuszana do odgrywania ról, które coraz mocniej

nadwyrężały ich i tak już niekonwencjonalne więzi. Pierwsza okazja do zmian nadarzyła się wcześniej, kiedy Amelia postanowiła pójść do college'u. Marie uznała to za zjawisko zabawne i kompletnie niezrozumiałe.

– Tak naprawdę liczy się tylko szkoła życia, głuptasie – oświadczyła, parskając śmiechem. – I na dodatek nie trzeba za nią płacić.

W przeciwieństwie do wielu innych wesołych „zawodowych" rozwódek, Marie zawsze otwarcie cieszyła się z posiadania dziecka, czego zupełnie nie rozumiały tabloidy. Trudno było ją jednoznacznie zaszufladkować. Czy polowała na bogatych mężczyzn? Pewnie tak, ale jednocześnie była też ujmująca i pełna uroku. Kolekcjonowała mężów, ponieważ traciła dla nich głowę i serce, wydawała ich pieniądze, bo je mieli, a kiedy ją znudzili, zostawiała ich i szła dalej. I mimo wszystkich jej wad wielu z jej porzuconych mężczyzn nadal uganiało się za nią po całym świecie, za wszelką cenę pragnąc ponownie ją zdobyć.

Amelia nigdy nie potrafiła powiedzieć, czy podziwia matkę, czy jest bezradna wobec jej zachowań.

– Nie wydaje mi się, aby łatwe życie, finansowane z alimentów wypłacanych przez bogatych mężczyzn, mogło pretendować do nazwy „szkoły" – powiedziała.

Marie wymownie wyrzuciła ręce do góry i Amelia zrozumiała, że odniosła pierwsze zwycięstwo.

Uwielbiała college. Spędziła w Bostonie cztery cudowne lata, ucząc się, spacerując ulicami, przesiadując w parku w rozleniwione letnie popołudnia; w weekendy zwiedzała malutkie portowe miejscowości, rozsiane wzdłuż skalistego wybrzeża Maine, rozbijała namiot w Berkshires, złotą jesienią wyprawiała się na piesze wędrówki po całej Nowej Anglii, kupując

świeżutki syrop klonowy w Vermont i zatrzymując się na noc na farmach przywodzących na myśl powieści Edith Wharton.

Studiowała antropologię, socjologię i poezję, zaliczyła jednak także kursy biznesowe i finansowe, które dały jej solidne podstawy do zajęcia się sprawami matki. I przez cztery wspaniałe lata była „tylko” studentką jednej z najlepszych uczelni w kraju. Kiedy odebrała dyplom, wróciła do pracy, do której przygotowywała się przez całe życie – została osobistą asystentką Marie, jej finansowym menedżerem, specjalistką od marketingu oraz, aż zbyt często, dostępną dwadzieścia cztery godziny na dobę terapeutką.

Właśnie ta ostatnia rola najszybciej zmęczyła Amelię. W czerwcu ubiegłego roku postanowiła poświęcić więcej uwagi własnemu życiu i zamieszkać w pięknym San Francisco.

– Ale ja prawie nigdy nie zaglądam do San Francisco – zaprotestowała Marie.

I roześmiała się, gdy Amelia w odpowiedzi tylko popatrzyła na nią bez słów.

– W porządku. – Poklepała córkę po dłoni.

Lato w San Francisco okazało się dokładnie tym, o czym Amelia zawsze marzyła. Miała dwadzieścia sześć lat i niewątpliwie był to idealny wiek na rozpoczęcie samodzielnego życia w tym zachwycającym, czarownym mieście. Sprawy matki mogła śmiało monitorować z daleka – okoliczności tylko z rzadka wymagały, by osobiście uporządkowała chaos rozpętany przez Marie gdzieś na drugim końcu świata.

Doszła nawet do wniosku, że mogłaby zacząć umawiać się na randki, bo przecież, jak twierdzili jej przyjaciele i znajomi, tak zachowują się normalni ludzie, którzy nie zawierają małżeństw w bezmyślnym pośpiechu, aby potem dostarczać adwokatom możliwości łatwego zarobku.

Jednak za każdym razem, kiedy starała się zapomnieć o całym świece pod wpływem namiętności – lub trzeciego kieliszka wina – wyobraźnia podsuwała jej tamtą niemożliwą do wyrzucenia z pamięci twarz – ogniste czarne oczy, wydatny nos, zmysłowe wargi, profil jak z rewersu starej monety.

Do diabła z tym Teem.

Okropna prawda, którą odkryła zeszłego lata, polegała na tym, że w żaden sposób nie umiała się uwolnić spod uroku, jaki rzucił na nią były przybrany brat. I całkiem możliwe, że nigdy nie pomyślałaby o wyprawie do Hiszpanii, gdyby nie to, że akurat i tak była już w Europie, bo Marie, jak zwykle, potrzebowała jej obecności w kluczowym momencie życia, jakim nieodmiennie było zakończenie kolejnego romansu i rozpoczęcie następnego, tym razem we Włoszech.

W takiej sytuacji nie powinno dziwić nikogo, a najmniej samą Amelię, że zaczęła myśleć o maskaradzie na terenie hiszpańskiej posiadłości rodziny de Luz. Nie miała cienia wątpliwości, że maskarada stwarza doskonałą okazję do rozprawienia się z Teem, raz na zawsze. Do wyrzucenia go z pamięci, ze swego organizmu. Musiała to zrobić, ponieważ czuła, że aby rozpocząć tak upragnione normalne życie, powinna zmierzyć się z Teem.

Ta myśl na dobre zagnieździła się w jej głowie i nie dawała jej spokoju. Tak czy inaczej, ostatecznie uległa wewnętrznemu imperatywowi i dość szybko odkryła, że wcale nie rozwiązała dręczącego ją problemu, lecz raczej osobiście stworzyła sytuację, której przyszło jej gorzko żałować.

I oto teraz była tutaj, w punkcie wyjścia, jeśli można tak powiedzieć. Trzy miesiące po tamtym wydarzeniu siedziała na kamiennej ławie, otoczona starymi rzeźbami, których oczy wpatrywały się w nią krytycznie, zupełnie jakby wiedziały, co zrobiła, i potępiały ją z całą surowością.

Rozpięła kurtkę, pozwalając klapom kołnierza opaść na boki. Już całe wieki temu nauczyła się, że udawanie kogoś innego nie ma najmniejszego sensu – była Amerykanką i wszelkie próby przesłonięcia tego obrazu były z góry skazane na porażkę. Nie ulegało wątpliwości, że określona grupa Europejczyków mogła uważać ją za niepasującą do ich towarzystwa, zresztą nawet gdyby stosowała się do najbardziej poprawnych zasad wychowania, i tak zawsze postrzegano by ją przez to szczególne szkiełko, jakim była jej matka.

Dobrze natomiast było pamiętać, że to, czego nie da się zmienić, można wykorzystać jako broń.

Z dala dobiegł ją odgłos zbliżających się kroków, wyprostowała więc ramiona i wzięła głęboki oddech, ale w drzwiach znowu stanął służący. Zmierzył ją podejrzliwym wzrokiem, jakby był prawie pewny, że pod jego nieobecność wycięła parę bezcennych płócien z ram, zwinęła je w rulon i wetknęła sobie za pasek dżinsów, i nie odpowiedział na jej szeroki uśmiech. Jakżeby inaczej.

– Proszę za mną – przemówił ociekającym dezaprobatą głosem. – Książę jest bardzo wpływowym człowiekiem i, co za tym idzie, ogromnie zajętym. To zaszczyt, że zgodził się poświęcić pani kilka chwil.

– Nie zapomnę mu podziękować, na pewno. – Amelia podniosła się. – I to bardzo serdecznie.

Jej słowa nie zrobiły na starszym mężczyźnie oczekiwanego wrażenia. Odwrócił się na pięcie i ruszył ku długiej galerii, łączącej główną część pałacu z jego skrzydłami. Ze ścian patrzyły na Amelię portrety czarnookich, wyniosłych mężczyzn w historycznych strojach. Doskonale je pamiętała, bo była tu przecież wcześniej, jako szesnastolatka, z zafascynowaniem obserwując ewolucję rysów Tea poprzez wieki i pokolenia.

Wszystkie pokoje i inne pomieszczenia, przez które przechodzili, były takie same – wszystko tu lśniło, wszystko było w doskonałym guście, żadnych drobiazgów, bibelotów ani rzeczy osobistych. Nigdzie żadnych wystających spod kanapy kapci ani zostawionych na stole kubków po kawie czy herbacie. I trudno było nawet mówić tu o antykach, ponieważ każdy przedmiot i sprzęt był praktycznie bezcenny – najdosłowniej bezcenny, gdyż ich wartość wykraczała poza granice wyobraźni przeciętnego człowieka. Dom pełen był starannie wybranych i dobranych dzieł sztuki, zakupionych lub podarowanych rodzinie przez przyjaciół, wasali i sojuszników.

Lokaj zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami, otworzył je i ruchem głowy polecił dziewczynie wejść do środka. Amelia uświadomiła sobie, że musi to być gabinet księcia. Dziesięć lat temu ojciec Tea spędzał tu całe dni, kiedy przebywał w domu, stąd nadzorując i prowadząc swoje interesy.

Dopiero teraz, gdy przekroczyła próg gabinetu, uświadomiła sobie, że ten pokój różni się od innych. Emanował wprawdzie bogactwem i spokojną elegancją, ale półki pełne były książek, które tworzyły osobistą kolekcję i z których wyraźnie korzystano, a na parapecie nad kominkiem stały rodzinne zdjęcia w skromnych ramkach, zupełnie jakby mieszkał tu normalny człowiek, zbierający nie tylko cenne przedmioty, lecz także wspomnienia. Przez oszkloną kopułę i ogromne okno wpadało do środka rozproszone światło zimowego dnia.

Amelia rozejrzała się powoli i ostrożnie, dopiero teraz w pełni świadoma swego przerażenia, i wreszcie zatrzymała wzrok na mężczyźnie, który tu na nią czekał, oparty o masywne, bardzo stare i bardzo piękne biurko. Teo de Luz, kiedyś jej przybrany brat, a dziś poważny życiowy problem, żywo przypominał jedną ze zdobiących pałacowe korytarze rzeźb, stworzonych przez dawnych mistrzów o zaczarowanych dłoniach.

Był piękny, pewny siebie i wyniosły, chyba jeszcze bardziej imponujący niż jego rezydencja. Amelia odchrząknęła, podniosła głowę i odkryła, że nie jest w stanie wykrztusić ani słowa, bo Teo wydał jej się kimś więcej niż zwyczajny mężczyzna. Takim go zapamiętała – był wyższy, lepiej zbudowany, szerszy w ramionach i złożony prawie wyłącznie z mięśni. Jego czarne oczy lśniły, włosy nadal były kruczoczarne, krótko ostrzyżone, bez choćby cienia siwizny na skroniach, wyraźnie zaznaczone kości policzkowe współgrały z ostrą, męską linią nosa, a zarys niemożliwie zmysłowych warg budził podniecenie.

Szczególnie teraz, gdy wiedziała, co potrafił nimi robić.

Tamtej wrześniowej nocy nie widziała go dokładnie, zresztą między innymi o to jej chodziło. Była wtedy śmiała, wręcz wyzywająca, a on zareagował na jej poczynania płomienną namiętnością, która dosłownie pozbawiła ją tchu i rzuciła prosto w jego ramiona. Kochali się pod ścianą, nie mogąc czekać ani chwili dłużej, a później w salonie, nadal w maskaradowych kostiumach, w ubraniach pośpiesznie zsuniętych lub zdartych, w pośpiechu i pożądaniu.

Szybko się okazało, że tego pośpiechu i pożądania było aż zbyt dużo. I to mimo tego, że Teo na jej oczach założył prezerwatywę.

Teraz patrzył na nią badawczo, bez tamtego lekkiego uśmiechu. Obserwował ją zimno, surowo, z dezaprobatą. Zbyt późno, jak zawsze, przypomniała sobie, że nosił w sobie dziedzictwo wielu pokoleń, że był księciem, człowiekiem potężnym i niezwykle wpływowym.

Dziesięć lat temu, kiedy w ogóle zdarzyło mu się na nią spojrzeć, patrzył na nią właśnie w taki sposób. Tyle że teraz odbierała to znacznie gorzej.

– Co za niespodzianka – odezwał się spokojnie. – I to bynajmniej nie bardzo przyjemna.

Uniósł jedną czarną jak atrament brew i mało brakowało, by Amelia dygnęła uniżenie.

– Cześć, Teo – odparła.

Jak ostatnia idiotka.

– Musisz mi przypomnieć swoje imię – powiedział. – Obawiam się, że nie zachowałem w pamięci szczegółów wszystkich nieszczęsnych romantycznych wyborów mojego ojca.

Nie wierzyła, że rzeczywiście nie wiedział, kto przed nim stoi.

– Rozumiem to. – Kiwnęła głową. – Ja także musiałam wyrzucić z pamięci co najmniej kilka małżeństw mojej matki.

Nad idealną dolną szczęką Tea zadrgał jakiś mięsień.

– Pozwól, że ostrzegę cię, zanim posuniemy się dalej – rzekł. – Jeżeli przyjechałaś w celu wyciągnięcia ode mnie pieniędzy z powodu jakichś więzi, o których zapomniałem, zanim zostały zerwane, to spotka cię rozczarowanie. A ponieważ nie przychodzi mi do głowy żaden inny powód, dla którego mogłabyś zakłócać mój spokój, to muszę cię poprosić, żebyś wyszła.

Amelia zmierzyła go uważnym spojrzeniem.

– Mogłeś przekazać mi tę wiadomość przez lokaja.

– Przyznaję, że uległem ciekawości, która teraz została już zaspokojona. Więc możesz odejść.

Amelia z trudem zapanowała nad automatycznym odruchem posłuszeństwa.

– Nie chcesz się dowiedzieć, dlaczego przyjechałam?

– Z całą pewnością nie.

– W takim razie nie zajmie to dużo czasu.

Czuła… Czuła aż za dużo. Przede wszystkim wstyd, że przyjechała tu do niego, że uznała taką konieczność i uległa jej. Matka zawsze jej powtarzała, żeby nie odkładać tego, co nieprzyjemne, bo im szybciej zakończy przykrą sytuację, tym więcej będzie miała czasu, by myśleć o tym, co dobre.

Więc co z tego, że teraz trudno jej było wydobyć głos z suchego gardła?

– Jestem w ciąży – oznajmiła. – Ty jesteś ojcem dziecka. I nie mów, że to niemożliwe, bo byłam tu podczas maskarady ubiegłej jesieni. Tak, z włosami ufarbowanymi na rudo. A ponieważ pytałeś, przypomnę ci, że nazywam się Amelia Ransom. Kiedyś byłeś moim przybranym bratem. Mam nadzieję, że to ci nie przeszkadza.

ROZDZIAŁ DRUGI

Jego ekscelencja Mateo Enrique Armando de Luz, dziewiętnasty książę Marinceli, grand Hiszpanii, nie przepadał za Amerykankami generalnie, a już szczególnie za tą okropną, chciwą i pozbawioną ludzkich uczuć Marie. Małżeństwo swojego ojca z taką osobą uważał za całkowitą degradację, upadek i zdradę, a ich rozwód potraktował jak osobiste zwycięstwo.

Fakt, że ojciec pozwolił złowić się tej strasznej babie i na domiar złego był nią bez reszty zafascynowany, postrzegał w kategoriach upokorzenia, najgorszego z możliwych. Czasami ogarniał go lęk, że wybór ojca kładzie się cieniem również i na nim. Rodzina de Luz była przecież jedną z najstarszych i najpotężniejszych w Europie i jej członkowie nie powinni padać na kolana przed taką personifikacją wulgarności, jaką była Marie, a już w żadnym razie nie wiązać się z kimś takim małżeńskim węzłem.

Inne żony ojca Tea wywodziły się z europejskiej arystokracji, przynajmniej tyle. Tylko Marie Force udało się skłonić osiemnastego księcia z rodu de Luz do zerwania z tradycją. Tylko ona, najzupełniej zwyczajna kobieta o nieco nieokrzesanym stylu bycia, osiągnęła ten cel.

Siłą rzeczy młody człowiek nie darzył sympatią także i córki Marie, której niesamowite, odziedziczone po matce fiołkowe oczy od początku wydawały mu się swego rodzaju komentarzem na temat jej charakteru. Komentarzem negatywnym, naturalnie.

Teo nie miał cienia wątpliwości, że przy takiej matce dziewczynę śmiało można spisać na straty, i tyle.

– W ciąży – powtórzył powoli, jakby smakując ten zwrot.

– To siedemnasty tydzień – odparła przerażająco pogodnym tonem. – Jeśli policzysz wstecz, czas poczęcia przypada na maskaradę.

– Serdeczne dzięki, panno Ransom – rzekł Teo po chwili milczenia, głosem, który zwykle zmuszał jego rozmówców do manifestacji pokory i wyrażenia przeprosin. – Sam jestem w stanie wykonać stosunkowo proste matematyczne działanie.

Dziwne, ale na stojącej prawie w progu kobiecie jego chłód nie zrobił chyba najmniejszego wrażenia. Uśmiechnęła się tylko lekko, jakby z powątpiewaniem, i ten jej uśmiech natychmiast go zirytował.

Może powinien był spodziewać się czegoś takiego. Podobne ataki wobec niego zawsze były oczywistymi próbami wyrwania jakiegoś kawałka fortuny rodu de Luz i delektowania się tytułami, zaszczytami i bogactwem, które nieodłącznie wiążą się z szacownym nazwiskiem. I te wcześniejsze doświadczenia powinny teraz pomóc mu zrozumieć, jak to się stało, że ta impertynencka, bezczelna istota wątpliwego pochodzenia tak bardzo obrosła w piórka w okresie, na szczęście krótkim, spędzonym na łonie jego rodziny, że teraz pozwoliła sobie na tak śmiały krok. Cóż, trudno byłoby znaleźć osobę, która nie chciałaby należeć do rodu de Luz, prawda?

Amelia Ransom stała teraz przed nim na dywanie wartym tyle co niejedna posiadłość i najwyraźniej wcale nie wstydziła się swojej obecności w tak niezwykłym miejscu. I rzucała pod jego adresem oskarżenia, które nie mieściły się w głowie do tego stopnia, że Teowi na moment zabrakło słów. Mimo tego, że zawsze wiedział, że córka Marie wyrośnie na taką samą kobietę jak ona.

– Od września dowiedziałam się wielu rzeczy – oznajmiło stojące przed Teem stworzenie.

Poznał ją od razu, oczywiście, chociaż nie zamierzał podzielić się z nią tą informacją. Dlaczego? Aby wzbudzić w niej przekonanie, że nie zasługuje ani na miejsce w jego wspomnieniach, ani na jego czas.

– Nigdy nie wolno udawać kogoś innego, to pewne – dodała. – Nie wolno też wchodzić w jakiekolwiek relacje z mężczyznami, licząc, że uda się nam uniknąć reperkusji.

– Nie przekonałaś mnie jeszcze, że w ogóle weszliśmy w jakieś relacje.

– To, czy jesteś o tym przekonany, czy nie, nie zmieni podstawowego faktu. – Fiołkowe oczy Amelii błysnęły. – A faktem jest, że noszę pod sercem twoje dziecko.

– Jakże dogodna to sytuacja…

Obserwował ją chłodno, musiał jednak przyznać, że nie czuł już tak niewzruszonego spokoju, jak jeszcze przed paroma chwilami. Amelia, ze swej strony, nie wydawała się jakoś szczególnie dotknięta jego reakcją. Nie szlochała, nie zalewała się łzami i chyba ani w głowie jej było mdleć ze wzruszenia. Nie, nic z tych rzeczy, absolutnie.

– Postanowiłam poinformować cię o tym, ponieważ uważam, że tak trzeba – powiedziała. – Nie dlatego, żebym szukała w tobie oparcia. Uważaj się za poinformowanego.

Odwróciła się i mało brakowało, a Teo pozwoliłby jej odejść, głównie po to, by się przekonać, czy zamierza zrealizować ogólnie znany scenariusz, czyli oddalić się, ale na niezbyt dużą odległość, bo przecież trudno wydobyć pieniądze od mężczyzny, z którym zerwało się wszelkie kontakty.

Tak czy inaczej, doszedł do wniosku, że nie da się tak podpuszczać.

– Nie przyjechałaś tu chyba jednak wyłącznie po to, by przekazać mi tę nowinę, jaka by ona nie była, i wyjść z dumnie podniesioną głową dlatego, że nie zareagowałem tak, jak byś sobie tego życzyła.

Powiedział sobie, że przecież bez trudu znajdzie zdjęcia z wrześniowej maskarady. Rzeczywiście tańczył z jakąś kuszącą rudą, a potem zniknął z nią na jakiś czas, w najzupełniej oczywistym celu, lecz to wcale nie oznaczało, że ta tutaj jest tamtą rudowłosą. W głowie zakręciło mu się nagle na samą myśl o takiej możliwości, całe jego ciało natychmiast zareagowało na wspomnienie zmysłowych chwil.

Amelia machnęła ręką i nawet się nie odwróciła.

– Nie obchodzi mnie, co zrobisz z tą informacją – oznajmiła. – Jest oczywiste, że mężczyzna powinien wiedzieć, że został ojcem, to wszystko. Spełniłam obowiązek, powiedziałam ci, koniec, kropka.

– List zupełnie by wystarczył.

Teraz odwróciła się, a raczej spojrzała na niego przez ramię i Teo drgnął. Do tej pory naprawdę nie wierzył, że to właśnie Amelia Ransom była tamtą tajemniczą kobietą, w której ramionach doznał tak wielkiej rozkoszy, ale to… Tak, doskonale pamiętał ten profil i ten ruch. Włosy miała wyzywająco rude, a dramatyczna zieleń oczu powinna od razu wydać mu się sztuczna, jednak teraz dotarło do niego, że to musiała być ona, faktycznie. Prawie całą twarz miała zasłoniętą maską i twierdziła, że nie może jej zdjąć, ale tamtej nocy w ogóle się nad tym nie zastanawiał, ponieważ jej wargi były słodkie i gorące, a dłonie bardzo niegrzeczne.

– Jasne. – Skinęła głową z wyraźnie lekceważącym wyrazem twarzy. – I na pewno otworzyłbyś przysłany przeze mnie list, prawda?

– Ktoś by to zrobił.

– I uwierzył, tak?

– Ja teraz też nie wierzę. I nie bardzo wiem, jakie oczekiwania miałaś co do tej wizyty. Na razie przypomniałaś mi tylko o raczej marnej opinii, jaką mam o twojej rodzinie.

– Pewnie o tym nie wiesz, ale mówisz o mojej biednej babci z Nebraski, na przykład. Założę się, że nie masz zielonego pojęcia o jej istnieniu, tak bardzo jest ono niepozorne i nieistotne, kiedy patrzy się na nie z perspektywy całej tej… Całej tej wystawy bezcennych wspaniałości. Tak czy inaczej, rozumiem, że twoja marna opinia dotyczy przede wszystkim mojej matki.

– Twoja matka jest niewiele lepsza od terrorystki – odparł lodowato. – Obiera sobie cel, a następnie go niszczy.

– Oczywiście – przytaknęła sucho. – Ta rezydencja leży w gruzach, to pierwsza rzecz, jaką spostrzegłam.

– Odkąd twoja matka wbiła szpony w mojego ojca, nigdy nie odzyskał równowagi. Nigdy już nie był sobą.

Teo odkrył ze sporą konsternacją, że stoi sztywno wyprostowany, chociaż wcale nie zamierzał odsunąć się od biurka. Całe jego ciało było napięte jak struna.

– Wyrazy współczucia – rzuciła. – Ale zaraz, coś mi się tu nie zgadza… Wydawało mi się, że twój ojciec to Luis Calvo, osiemnasty książę Marinceli, człowiek o wielkich wpływach i astronomicznym majątku, natomiast moja matka to zwykła rozwódka, więc kto tu jest ofiarą?

– To chyba jakieś żarty! Powiedzieć o Marie, że to „zwykła rozwódka”, to jakby nazwać *Tyrannosaurusa rexa* niedużą jaszczurką!

Oczy Amelii znowu błysnęły mrocznym odcieniem fioletu.

– Nie znam wielu niepodważalnych prawd, ale jedną z nich jest to, że bogaci mężczyźni oganiają się od żądań o uznanie ojcostwa tak samo jak normalni ludzie od komarów w letni wieczór – powiedziała. – Ponieważ

nasi rodzice faktycznie byli małżeństwem, niezależnie od tego, jaka jest twoja opinia o ich związku, pomyślałam, że powinnam osobiście powiadomić cię o dziecku, że jestem ci winna tę uprzejmość, po prostu.

– Czuję się głęboko zaszczycony.

Odwróciła się twarzą do niego, zupełnie, ale jeżeli spodziewał się, że pokornie spuści wzrok, srodze się rozczarował. Spojrzała mu prosto w oczy, spokojnie i chyba ze współczuciem, co trochę zbiło go z tropu. Niemożliwe, a jednak.

– Czego właściwie chcesz? – zapytał.

Zamrugała, jakby zdziwiona, że nic nie zrozumiał. Nieczęsto spotykał się z czymś takim.

– Powiedziałam ci już, czego chcę, czy raczej chciałam. Chciałam przekazać ci wiadomość o dziecku, nic więcej.

– Z dobroci serca, rzecz jasna. – Uśmiechnął się ironicznie. – Zapragnęłaś powiadomić mnie o moim domniemanym ojcostwie, a później… No, właśnie, co potem? Planowałaś zniknąć jak sen?

– Nic aż tak poetyckiego. Planowałam wrócić do domu, do San Francisco, nacieszyć się ciążą i przygotować do życia samotnej matki.

I uśmiechnęła się słodko. Musiałby jednak być wyjątkowym optymistą, gdyby próbował sobie wmówić, że w jej głosie jest choćby odrobina słodyczy.

– Rozumiem. – Kiwnął głową. – Więc zamierzasz zatrzymać to cudownie poczęte dziecko, tak?

Leciutko przechyliła głowę.

– Nie przyjechałabym tutaj i nie wdarła się, najdosłowniej, na teren twojej posiadłości, gdybym nie zamierzała zatrzymać dziecka, nie sądzisz?

Teo nieoczekiwanie odkrył, że nie bardzo wie, co zrobić z rękami. Było to tak dziwne uczucie, że ściągnął brwi i zdecydowanym ruchem wsunął

dłonie do kieszeni spodni, nie mogąc się pozbyć wrażenia, że tak naprawdę chciałby zachować się inaczej.

Nic z tych rzeczy, skarcił się twardo. Może i przeżył kilka pełnych rozkoszy chwil z tą kobietą, ale był przecież dorosłym mężczyzną, obarczonym poważnymi obowiązkami. Nie mógł ulegać przelotnym pragnieniom.

– Zdumiewa mnie twój altruizm – powiedział. – Przyjechałaś tu, wiedziona czystą dobrocią serca, żeby podzielić się ze mną tą niezwykłą nowiną. Wygląda więc na to, że jesteś jedyną kobietą na świecie, która twierdzi, że ma urodzić spadkobiercę księstwa Marinceli, a jednocześnie nie zamierza upominać się o to dziedzictwo.

– Mam nadzieję, że urodzę dziewczynkę, jeśli mam być szczera – odparła Amelia tonem, który może i dałoby się uznać za kompletnie neutralny, gdyby nie wyraz jej twarzy. – O ile dobrze pamiętam, nigdy dotąd nie było samowładnej księżnej Marinceli, mam rację? Mieliście wyłącznie samych książąt, z których każdemu wydawało się, że jest pępkiem świata.

Teo zacisnął zęby tak mocno, że z trudem otworzył usta, by się odezwać.

– Skoro utrzymujesz, że jedyną przyczyną twojego działania była chęć poinformowania mnie o twojej domniemanej ciąży, to tym bardziej nie rozumiem, dlaczego wymagało to osobistej audiencji.

– Mówiłam już, że moim zdaniem tej wagi wiadomości należy przekazywać osobiście – powiedziała bardzo wyraźnie i powoli, zupełnie jakby miała go za ograniczonego umysłowo. – Wybacz, że miałam śmiałość wyobrazić sobie, że mógłbyś się okazać normalną, żywą istotą ludzką, a nie tą karykaturą człowieka.

– Jestem księciem Marinceli. Poczynania zwyczajnych ludzi zupełnie mnie nie dotyczą.

Amelia przewróciła oczami. Otwarcie. I zaskoczyła Tea do tego stopnia, że długą chwilę patrzył na nią bez słowa.

– Rozumiem. – W jej głosie zabrzmiała ta sama nuta znudzenia, którą zapamiętał z tamtych lat, teraz może trochę bardziej wyraźna. – Cóż, zostałeś poinformowany, prawda? Kiedy dostaniesz dokumenty, podpiszesz je, i będzie tak, jakby się nic nie zdarzyło.

– Słucham? Dokumenty?

Skrzyżowała ręce na piersi i zmierzyła go twardym spojrzeniem.

– No, tak, dokumenty, a co myślałeś? Że ci zaufam?

– Że mi zaufasz? – powtórzył powoli i wreszcie parsknął śmiechem. – Moja droga, czy ty w ogóle masz jakiekolwiek pojęcie, ile przedsiębiorczych kobiet, niezależnie od tego, czy rzeczywiście obdarzyłem je swoją uwagą, czy nie, twierdzi, że w jakiś sposób spłodziłem ich dziecko?

– Możesz potraktować mnie jak jedną z nich, nie ma problemu – odrzekła z niezachwianym spokojem. – W gruncie rzeczy byłabym szczerze zadowolona, gdybyś uznał, że kłamię.

Teo nie podjął jeszcze żadnej konkretnej decyzji, lecz w słowach i zachowaniu Amelii było coś, co go zdumiewało. Bo nie mógł się oprzeć wrażeniu, że naprawdę jej zależy, aby jej nie uwierzył, i było to tak całkowicie różne od postępowania innych kobiet, które zgłaszały się do niego z podobnymi „nowinami”, że po prostu musiał się jakoś odnieść do tej przedziwnej rozmowy. Rozmowy, która ku jego wielkiemu zdumieniu, zmieniła jego życie, czy tego chciał, czy nie.

– Stwierdzimy, czy kłamiesz, w taki sam sposób, w jaki zwykle weryfikuje się tego typu sytuacje – oznajmił.

– I co to niby ma znaczyć? – prychnęła lekceważąco. – Złożenie rytualnej ofiary? Marsz przez bagna? Próbę ognia i wody? Krótki pobyt w lochu?

Sarkastycznie uniósł jedną brew.

– Zwyczajny test na ojcostwo, panno Ransom. Lochów nie używamy od co najmniej stu lat.

– Mogę zrobić dowolne badanie – powiedziała po chwili milczenia. – Chociaż to strata czasu…

– Zabawne, ale ja mam całkowicie odmienne zdanie.

Wzruszyła ramionami.

– Jeżeli ci zależy, możemy zrobić badanie DNA, lecz ja potrzebuję tylko twojego podpisu na dokumencie orzekającym o zrzeczeniu się przysługujących ci praw rodzicielskich.

Coś w głębi jego serca zachłysnęło się gwałtownym, trudnym do zrozumienia uczuciem.

– Nie wierzę, że naprawdę tak myślisz – wycedził. – Jak mógłbym zrezygnować z praw do mojego dziecka, jeżeli faktycznie je nosisz? Z praw do pierworodnego potomka dziewiętnastego księcia Marinceli? Sądziłaś, że zlekceważyłbym swoje obowiązki? Może okres, który spędziłaś tu jako dziecko…

– Nie byłam dzieckiem – przerwała mu. – Byłam nastolatką.

Jednak Teo nie chciał myśleć o nastolatce, którą była Amelia, nastolatce o krągłych, zachwycająco zmysłowych kształtach. Czy wtedy zwrócił na nią uwagę? Chyba nie, ale teraz nie był już tego pewny. Dziewczyna, którą kiedyś uparcie starał się ignorować, i ruda czarownica, która całkiem zawróciła mu w głowie, wydawały się nie mieć nic wspólnego ze stojącą przed nim bladą kobietą o jasnych włosach, pozbawionej choćby cienia makijażu twarzy i fiołkowych oczach.

– Wszystko jedno, w jakim byłaś wieku – oświadczył surowo. – Najwyraźniej nie udało nam się wpoić ci jednej prostej zasady: wszyscy członkowie mojej rodziny bardzo poważnie traktują zobowiązania wobec swoich przodków i potomków.

– Jestem tego w pełni świadoma.

W jej spojrzeniu i lekkim skrzywieniu warg było coś, co nagle uświadomiło mu, że jego pochodzenie nie robi na niej szczególnego wrażenia. Nie do wiary, a jednak…

– Lecz o ile dobrze pamiętam, to właśnie ty, zaraz po ślubie naszych rodziców, głośno i dobitnie wyraziłeś ogromną radość, że moja matka jest za stara, aby… Zaraz, jak to ująłeś? Za stara, by zbrukać szlachetny ród swoim wypłódkiem. Tak, tak to określiłeś, zakładam więc, że urodzone przeze mnie dziecko postrzegałbyś w podobny sposób, jako skazę na czystej linii rodu de Luz. Stąd moja propozycja, żebyś wyrzekł się i mnie, i dziecka.

Minęła dłuższa chwila, zanim Teowi udało się zidentyfikować zdecydowanie nieprzyjemne uczucie, które ogarnęło go pod wpływem słów Amelii. Jako dwudziestoszścioletni młody człowiek miał solidnie ugruntowane przekonanie, że jest kimś szalenie ważnym dla świata, a przy tym wyobrażał sobie, że jego ojciec jest nieśmiertelny. Ze ślubu ojca i Marie zapamiętał niewiele, wydawało mu się jednak, że zachował się wtedy z pełną godności milczącą dezaprobatą. Czy możliwe, by wypowiedział na głos to, co myślał?

– Nie przypominam sobie niczego takiego – oświadczył sztywno. – Takie myśli z pewnością nie były mi obce, ale zwerbalizowanie ich byłoby co najmniej nieuprzejme.

Popatrzyła na niego dziwnie, znowu jakby ze współczuciem.

– Najwyraźniej wyparłeś to z pamięci – powiedziała. – Jednak to nie znaczy, że tak nie było. Tak czy inaczej, ja uznałam, że co najmniej nieuprzejme, cytując klasyka, byłoby nie poinformowanie cię o tej ciąży. Jak już mówiłam, możemy zakończyć całą sprawę tu i teraz – zrzekniesz się praw rodzicielskich i nie będziesz się musiał martwić, że jakaś kompletna pomyłka zanieczyści czyściutką krew wielkich książąt Marinceli. Dam głowę, że za jakiś czas znajdziesz odpowiednią pannę o błękitnej krwi, a ona wyda na świat utytułowanych spadkobierców, którzy będą dużo lepiej pasowali do świetnej opinii, jaką masz o samym sobie.

Teo nigdy dotąd nie słyszał, aby ktoś w tak pozbawiony szacunku sposób opisał jego obowiązki wobec książęcego tytułu i rodzinnej tradycji. Było to… Cóż, było to trochę jak powiew rześkiego, zimnego powietrza, które wdarło się do przegrzanego, dusznego wnętrza.

Twierdziła, że jest w ciąży, a on nie mógł zarzucić jej kłamstwa, ponieważ istniała możliwość, że faktycznie była tamtą rudowłosą uwodzicielką, w której wdziękach tak zasmakował wrześniowej nocy podczas maskarady. Zasmakował w nich tak bardzo, że kochał się z nią jak szalony, a następnego ranka obudził się z jedną, jedyną myślą – że chce kochać się z nią znowu. Było to bardzo niezwykłe przeżycie.

Nie był to jednak właściwy moment, aby rozpamiętywać tamte doznania. Jeżeli Amelia mówiła prawdę, co powinno potwierdzić badanie DNA, uporządkowane życie Tea mogło się znaleźć w punkcie zwrotnym, i nie miało znaczenia, dlaczego przyjechała do Hiszpanii ani w co grała.

Teo chciał poznać konkretne odpowiedzi na swoje pytania.

Wyszedł zza biurka i podszedł do stojących przed kominkiem foteli.

– Zdejmij kurtkę i usiądź, przynajmniej na chwilę – powiedział spokojnie.

Amelia ani drgnęła. Stała wciąż w tym samym miejscu, tuż za progiem, i obserwowała go spod ściągniętych brwi.

Teo przesunął jeden z foteli i wskazał go szerokim gestem.

– Usiądź, proszę – powtórzył i tym razem zabrzmiało to jak polecenie.

Nadal mierzyła go podejrzliwym wzrokiem, lecz podeszła powoli. Jej nieskrywana niechęć była oczywistą obrazą.

– Większość ludzi uważa przebywanie w moim towarzystwie za zaszczyt – rzucił sucho.

Amelia pociągnęła nosem.

– Najwyraźniej w ogóle cię nie znają.

Teo odkrył, że pamięć mu wraca, nieśpiesznie, ale jednak. Zazwyczaj wolał udawać, że tamte lata w ogóle nie miały miejsca. Tamte wstydliwe, amerykańskie lata, podczas których Marie w swobodnych pozach wylegiwała się na bezcennych meblach i zanosiła się tym chropowatym, zachrypniętym śmiechem.

Amelia nie wtopiła się wtedy w tło, czego można by oczekiwać od dziewczyny w jej wieku, o, nie, nic z tych rzeczy. Była przecież córką Marie, prawda? Całkiem nieźle pamiętał bezczelną, pyskatą nastolatkę, która potrafiła wygarnąć nie tylko jemu, ale nawet jego ojcu, co było najzwyczajniej w świecie niewybaczalne.

Teraz zdjęła kurtkę, ale żeby jej, a nie jego, było na wierzchu, złożyła ją i trzymając przed sobą niczym tarczę, usiadła w fotelu. Teo zajął miejsce naprzeciwko niej.

– Mam ci powiedzieć, skąd się biorą dzieci? – zagadnęła lekkim tonem.

– Dlaczego to zrobiłaś? – zapytał, starając się zachować spokój. – Nie dość, że wystąpiłaś w przebraniu, to jeszcze dołożyłaś wszelkich starań, żeby zwrócić na siebie moją uwagę. Co cię opętało? Można by pomyśleć,

że starannie przygotowałaś zasadzkę, jednak uparcie utrzymujesz, że nie chcesz mojego nazwiska, pieniędzy ani czegokolwiek. Wytłumacz mi to.

– Nie muszę ci się tłumaczyć.

– A jednak przyjechałaś tu, do mojego domu, więc chyba mam prawo oczekiwać wyjaśnień.

– Przyjechałam, żeby cię o czymś poinformować, to wszystko. Ile jeszcze razy mam to powtórzyć?

Uśmiechnął się, nawet nie próbując opanować mrocznych, intensywnych uczuć, które szalały w jego głowie i całym ciele. Był to gniew podszyty płomiennym pożądaniem, tym samym co tamtej nocy.

– Niestety nie wierzę w ani jedno twoje słowo – powiedział. – W tej sytuacji musimy przetestować wiarygodność twoich twierdzeń.

– Testuj sobie do woli – odparła lekko znudzonym tonem.

Przyglądała mu się uważnie. Pewnie się spodziewała, że on zaraz wezwie kogoś, kto pobierze materiał do badania. I miał zamiar to zrobić, ale jeszcze nie w tej chwili.

Najpierw musiał jakoś poradzić sobie z dręczącym go pożądaniem i wspomnieniem rudowłosej kobiety, wspomnieniem, którego bezskutecznie starał się pozbyć.

– Doskonale – rzekł. – Może zaczniemy od dosłownego powrotu do tamtej nocy, co ty na to?

– Co takiego?!

Na moment ogarnęło go najzupełniej niestosowne uczucie triumfu. Tak, wreszcie udało mu się wydobyć z niej jakąś reakcję. I był to dopiero początek.

– Chodź tutaj, *carina* – odezwał się rozkazująco. – Dosiądź mnie, tak samo jak wtedy, i pocałuj, teraz już bez maski. Zobaczymy, jakie pokrycie mają twoje słowa.

ROZDZIAŁ TRZECI

Nie przypuszczał, że go usłucha.

Amelia wyczytała w jego ciemnych oczach pewność, że jego propozycja spali na panewce. Najwyraźniej spodziewał się, że ona wycofa się w popłochu, rumieniąc się i jąkając. Albo że zacznie rzucać w niego rozmaitymi przedmiotami. Albo zaleje się łzami.

Miała wielką ochotę zrobić to wszystko naraz, ale powstrzymała się.

Zauważyła bowiem, że nadal nie powiedział, że jej wierzy. Może zresztą w jego przypadku nie była to kwestia wiary. Tak czy owak, powinna była przewidzieć, że kogoś takiego jak on są w stanie przekonać jedynie twarde naukowe dowody.

Oznaczało to, że całe jego dotychczasowe zachowanie było jedynie grą. Oczywiście ona również nie była bez winy – we wrześniu przyjechała tutaj, wzięła to, co chciała, i zniknęła. Teo nie miał pojęcia, kim była rudowłosa dziewczyna i dowiedział się tego tylko dlatego, że zdecydowała się mu o tym powiedzieć.

To ona była tą, która wybrała tę grę. I ona miała nad wszystkim kontrolę.

Zwinęła kurtkę w kłębek i podniosła się. We wrześniu miała na sobie śmiało wyciętą suknię, która podkreślała kształt jej piersi i przy każdym kroku odsłaniała smukłe udo, prawie całe, i sandały na bardzo wysokim obcasie, wszystko to razem zupełnie nie w jej stylu, ale ponieważ akurat wtedy nikomu nie przyszłoby nawet do głowy, żeby porównywać ją

z matką, pozwoliła sobie na wiele. I jeśli miała być całkowicie szczera, musiała przyznać, że świetnie się czuła w tym nowym wydaniu.

Bez trudu zwróciła wtedy uwagę Tea, jednak ten cel osiągnęła i dzisiaj, chociaż z zupełnie innego powodu. Dziś była sobą i wyglądała tak, jak wyglądać mogła – zmęczona długim lotem, blada, mizerna, w dżinsach, swetrze miękkim jak pluszowa zabawka, który dwa lata temu dostała na urodziny od matki, i w wysokich butach.

Tylko wyraz twarz Tea był taki sam jak tamtego dnia, zupełnie jakby nagle zobaczył tę samą kobietę, która cztery miesiące wcześniej nie tylko podnieciła go, ale i szczerze rozbawiła.

Odgarnęła włosy do tyłu, świadoma, że Teo patrzy na nią tak, jakby chciał zanurzyć palce w ich jasnej gęstwinie. Miała wrażenie, że on zupełnie nie zdaje sobie z tego sprawy. Wygładziła dłońmi sweter, układając go na biodrach w nieświadomej imitacji ruchu, który setki razy widziała u matki. Zwykle zbywała lekceważeniem sztuczki, stosowane przez Marie w jej gierkach z mężczyznami, lecz teraz czuła to szczególne iskrzenie między sobą i Teem, i postanowiła wykorzystać wpływ, jaki najwyraźniej jednak na niego miała.

Podeszła do niego powoli. W pokoju panowała cisza, przerywana tylko cichym trzaskaniem ognia w kominku.

– Co kazałeś mi zrobić? – spytała nieco zachrypniętym głosem.

– Myślę, że wiesz – odparł.

Tak, dobrze pamiętała tamten wieczór.

Najpierw taniec. Jego rozpostarta tuż nad jej pośladkami dłoń wydawała się bardzo duża, drugą trzymał jej drżące palce. Milczeli. Taniec z Teem był dla Amelii niczym zanurzenie się w jakimś generatorze – im dłużej tańczyli, tym mocniej płonęła. Mężczyzna ani na moment nie oderwał od niej wzroku.

Kiedy muzyka ucichła, pociągnął ją do jednego z bocznych korytarzy, do mrocznego pokoju, gdzie przygwoździł ją swoim ciałem do ściany i zanurzył w niej palce. Potem uniósł ją lekko i wziął w posiadanie jej usta. Tamte chwile nadal jej się śniły.

Podwinął jej sukienkę do góry, zsunął jej majtki, rozpiął spodnie, włożył prezerwatywę i wszedł w nią jednym mocnym ruchem, wciąż patrząc jej prosto w oczy. Była gorąca, wilgotna i gotowa, i jakimś cudem udało jej się sprawić, że nic nie zauważył. Nie przerwał, nie wyszedł z niej, nie zmarszczył brwi, nie odsunął jej od siebie.

Zdołała go oszukać, wzbudzić w nim przekonanie, że ma do czynienia z doświadczoną kobietą. A przecież była dziewicą.

Kiedy dotarła na szczyt, zakrył jej usta dłonią. Chwilę później, w chwili wytrysku, przywarł wargami do jej szyi.

Pamiętała wszystko, ze szczegółami, tak dokładnie, jakby wydarzyło się to dosłownie przed chwilą. I teraz, biorąc pod uwagę to, jak Teo na nią działał, powinna się wycofać. Może rzucić jakąś lekką uwagę, obrócić całą tę sytuację w żart…

Uniósł jedną ciemną, gładką brew i uśmiechnął się drwiąco. Najwyraźniej nie wierzył, że ona znajdzie w sobie dość odwagi.

Przerzuciła nogę nad jego udami i usiadła mu na kolanach.

Był to błąd. Oczywisty błąd, ponieważ Teo był twardy i gorący, złożony wyłącznie z mięśni, i natychmiast przyciągnął ją bliżej. Patrzył na nią wyzywająco, z taką pewnością siebie, jakby był w stanie bez najmniejszego trudu zajrzeć do jej wnętrza.

Pośpiesznie przypomniała sobie, że chociaż w przeciwieństwie do niego nie ma za sobą dwudziestu pokoleń arystokratów, których krew nieraz łączyła się z krwią królewską, to jednak jest córką jednej z najbardziej

atrakcyjnych kobiet, jakie kiedykolwiek żyły na świecie. Uśmiechnęła się, z nadzieją, że zdołała ukryć swój lęk.

– Teraz mnie pamiętasz? – spytała.

Chwilę milczał. Nie potrafiła pozbyć się wrażenia, że szuka czegoś w jej twarzy, chyba bezskutecznie, bo jego usta nawet nie drgnęły.

– Tak jest – odparł. – Może wyjaśnisz mi teraz, dlaczego bez zaproszenia zjawiłaś się na maskaradzie, udając kogoś innego. Musiałaś wiedzieć, że gdybyś przedstawiła się swoim prawdziwym imieniem i nazwiskiem, nigdy bym cię nie tknął.

Nagle zaschło jej w gardle, bo chociaż jego głos brzmiał chłodno i spokojnie, między udami czuła jego naprężony, twardy członek.

– Jesteś księciem Marinceli – powiedziała, żałując, że nie umie lepiej nad sobą panować. – Nigdy nie uwierzę, że byłam pierwszą kobietą, która posunęła się tak daleko, by cię zdobyć.

Podniósł rękę i palcami przeczesał grube pasmo jej włosów. Nie mogła oderwać od niego wzroku i pewnie dlatego drgnęła nerwowo, kiedy wreszcie się odezwał.

– Dobrze wiedziałaś, co myślałem o twojej matce.

– To było dziesięć lat temu. – Posłała mu sztuczny uśmiech. – Tak czy inaczej, nie miałam pojęcia, co myślałeś o mnie, jeżeli w ogóle o mnie myślałeś, rzecz jasna.

– I dlatego zjawiłaś się na maskaradzie w przebraniu…

– Chciałam sprawdzić, czy coś między nami iskrzy.

Spojrzał na nią z nieukrywanym zdumieniem.

– Wiesz, jak to jest – podjęła. – Każda dziewczynka marzy o księciu z bajki.

– Panno Ransom, chciałbym zasugerować, żebyś nigdy więcej nie nazywała mnie „księciem z bajki” – powiedział z takim spokojem, jakby między ich ciałami nic się nie działo.

Jakby nie było między nimi żadnego ognia, żadnego głębokiego, szaleńczego pożądania.

I nagle, w chwili, gdy naprawdę tego się nie spodziewała, położył rozpostartą dłoń na jej karku, pociągnął ją ku sobie i pocałował.

Była to kara i modlitwa, jedno i drugie, jednocześnie. Trudno byłoby nazwać to płomieniem. Nie, było to jak eksplozja płomieni, jak supernowa. Objął ją drugim ramieniem, przyciskając jej piersi do swoich. Przechylił głowę w jedną stronę, potem w drugą, smakując ją i kusząc, budząc w niej fale żądzy, które wznosiły się jedna za drugą, każda wyższa i potężniejsza od poprzedniej.

Całował ją bez końca i kiedy bez reszty zatraciła się w zmysłowym tańcu jego języka, nagle oderwał wargi od jej ust, zsunął ją ze swoich kolan i postawił na podłodze przed sobą.

Musiał wiedzieć, że nogi ugną się pod nią. I mogła tylko mieć nadzieję, że łzy nie napłynęły jej do oczu.

– Dobrze wiedzieć, na czym stoimy, prawda? – W jego głosie brzmiała obraźliwa nuta. – Dziwi mnie, że chyba nie do końca nad sobą panujesz, mam rację?

– Pocałunek jak pocałunek – wykrztusiła z trudem.

– Pozwól, że powiem ci, czym był ten pocałunek – rzekł. – Był egzaminem, który oblałaś. Z kretesem.

– Jesteś pewny, że to ja go oblałam? – Spojrzała na spojenie jego ud, raczej z desperacką brawurą niż bezczelnością.

Uśmiechnął się zimno i podszedł do biurka. Chwycił komórkę, chwilę szukał w niej jakiejś informacji, nacisnął parę klawiszy i odłożył telefon.

– Patrzysz na mnie – oznajmił sucho. – Zdaję sobie sprawę, że może to zabrzmieć odrobinę niedelikatnie, ale sprawiasz wrażenie trochę nieprzytomnej.

– To pewnie przez ten długi lot.

Pokiwał głową z pełnym ironii zrozumieniem.

– Posłuchaj mnie teraz uważnie – zaczął. – Skontaktowałem się z jednym z moich asystentów i poinformowałem go, że trzeba będzie pobrać materiał do testu DNA. Na pewno wiesz, że cała procedura musi przebiec zgodnie z określonym protokołem.

Miała wielką ochotę rzucić się na niego, spoliczkować go i wbić paznokcie w jego policzki. Wcześniej nigdy nie uwierzyłaby, że jest zdolna do takich myśli, a jednak… A jednak. Czuła się słaba i wyczerpana, ale uśmiechnęła się blado.

– Rozumiem, że mam być gotowa na wszystko.

– Wspomniany asystent zjawi się tu z co najmniej dwoma osobami z mojego zespołu prawników i zajmie się całą sprawą. Badanie wykaże, czy jestem ojcem, czy nie. Jeżeli nie albo jeśli w ogóle nie jesteś w ciąży, czego również nie można w tej chwili wykluczyć, moi ludzie przedstawią ci do podpisania dokument zobowiązujący do zachowania tajemnicy. Zazwyczaj zachęcamy do tego kobiety, które występują z podobnymi żądaniami, a czasami dodajemy do umowy finansowy benefit. Moja prywatność jest ważniejsza niż pieniądze, co w praktyce oznacza, że chętnie płacę za to, aby nieuzasadnione żądania nigdy nie trafiły do wiadomości publicznej.

– Czy istnieje jakiś protokół na okoliczność, gdy się okaże, że to twoje dziecko? – zagadnęła Amelia.

Była dumna ze swojego opanowania, zwłaszcza że w głowie słyszała straszny, ogłuszający krzyk.

– Oczywiście. Jeżeli nosisz moje dziecko, szybko się dowiesz, że nie zamierzam pozwolić, by dorastało z dala ode mnie.

– Nie chcę twoich wpływów – powiedziała powoli. – Ani twoich pieniędzy. Niczego od ciebie nie chcę.

– W takim razie, panno Ransom, módl się, aby badanie dało wynik negatywny.

ROZDZIAŁ CZWARTY

– Wasza ekscelencjo…

Pełen uniżenia głos wyrwał Tea z zamyślenia. Nie odwrócił się, ale skinął głową, pozwalając w ten sposób swojemu asystentowi, aby przekazał mu wiadomość, z którą przyszedł.

– Wynik testu jest pozytywny.

Przez chwilę Teo był przekonany, że się przesłyszał. Bo przecież inna opcja nie wchodziła w grę.

– Pozytywny? – powtórzył.

– Tak. To pańskie dziecko.

Teo nadal siedział ze wzrokiem wbitym w roztaczający się za oknem ogród, który wraz z nadejściem wiosny wypełniał się pełnymi zachwytu zwiedzającymi, dla których w nieliczne dni otwierano bramy książęcej posiadłości, lecz nic nie widział.

Odchrząknął.

– Dziękuję – powiedział. – Jest pan wolny.

Zaczekał, aż drzwi zamkną się cicho, i dopiero wtedy powoli wypuścił powietrze z płuc. On, Teo de Luz, który z bólem patrzył, jak jego ojciec nurza swoją reputację w błocie z powodu okropnych kobiet, z jakimi się zadawał, spłodził dziecko. Nieślubne.

Z córką Marie French.

W głowie kręciło mu się z wściekłości, rozpaczy i wstydu.

Jego życie było zawsze dokładnie zaplanowane, w najdrobniejszych szczegółach. Sam je planował. Kiedy osiągnął pełnoletność i w pełni zdał sobie sprawę, jakie jest jego miejsce w świecie i jak wielkie znaczenie ma jego ród, zastanowił się, co musi zrobić, by nie zawieść swoich przodków i potomków. I wypełniać swoje obowiązki z godnością, jak przystało księciu Marinceli.

Jego małżonka miała być wyrafinowana i elegancka, o doskonałych manierach i nienagannym drzewie genealogicznym. Świetnie wykształcona i zdolna z łatwością przyjąć rolę księżnej.

Zawsze planował poślubić kobietę podobną do swojej matki.

Matki, która nauczyła go miłości do przyrody i odnajdywania spokoju w zjawiskach codziennych. Matki, którą kochał tak gorąco, jak należącą do niego ziemię, i którą za wcześnie stracił, najpierw naprawdę, a później jeszcze raz, symbolicznie, kiedy jego ojciec ożenił się z kobietą niewiele lepszą od prostytutki.

A teraz coś takiego. Taka tragedia.

Bo niezależnie od tego, co mówiła Amelia Ransom ani jakie były jego własne plany, kości zostały rzucone. Amelia była matką jego dziecka i, tym samym, przyszłą księżną Marinceli.

Ona, a nie idealna kobieta, którą sobie wyobraził. Musiał poślubić Amelię, nie miał innego wyjścia. Książęta Marinceli czasami się rozwodzili, a czasami, co kilkakrotnie zdarzyło się na przestrzeni wieków, aranżowali korzystne dla nich wypadki, lecz linia rodu zawsze była stabilna i niezachwiana.

Teo naprawdę nie miał żadnego wyboru, co zresztą i tak nie miało znaczenia. Patrząc na sytuację chłodno i z dystansem, musiał przyznać, że jego starej rodzinie może się przydać trochę świeżej krwi. A Amerykanie, chociaż zwykłe kmiotki, mieli w swojej naturze przedsiębiorczość

i zdecydowanie, których od pewnego czasu jakby brakowało innym nacjom.

Nie wątpił, że dziecko będzie silne, bystre i twarde. On, Teo, zawsze będzie w pobliżu, aby pokierować synem i wskazać mu właściwą drogę. Pytanie tylko, co miał zrobić z kobietą, którą musiał poślubić…

Lubiła bajki, więc mógł jej zapewnić życie jak w bajce. Zwłaszcza że sama zaczęła tę grę, sama przyjechała tu we wrześniu, by go uwieść. Z doświadczenia Tea wynikało jasno, że tym, którzy starali się do niego zbliżyć, zawsze zależało na czymś konkretnym – na jego tytule, bogactwie albo koneksjach.

Amelia mieszkała tu całkiem długo i trudno mu było sobie wyobrazić, by nie wiedziała, jak wygląda życie takich rodzin jak jego. Zamierzał nalegać, by za niego wyszła i urodziła mu dziedzica. Świat był teraz paskudnie nowoczesny, jednak tutaj, jak zawsze, panowały te same zasady co w średniowieczu.

Nie wątpił, że Amelia jest tego świadoma. Tak czy inaczej, skoro miała ochotę bawić się w Kopciuszka, on był gotowy z przyjemnością zrealizować jej wizje.

Amelię umieszczono w jednym z gościnnych apartamentów znajdujących się w głównej części budynku.

Najpierw spotkała się z asystentem Tea i jego dwoma prawnikami, którzy zapukali do drzwi z uprzejmym uśmiechem i plikiem dokumentów pod pachą. Przejrzenie papierów zajęło jej znacznie więcej czasu niż samo badanie, wykonane przez imponująco kompetentnego lekarza, którego pamiętała z okresu swojego poprzedniego pobytu w rezydencji rodu de Luz.

Nie czuła żadnego napięcia czy zdenerwowania, ponieważ doskonale wiedziała, kto jest ojcem jej dziecka, musiała jednak zaczekać na oficjalną

informację. Kiedy wszystko było już jasne, asystent Tea poprosił ją, by została w apartamencie, i wyszedł.

Amelia rozejrzała się po eleganckim salonie i powiedziała sobie, że nic jej tu nie trzyma. Czas mijał, a ona wciąż powtarzała sobie, że powinna wstać z krzesła i wyjść, ale jakoś nie mogła tego zrobić.

Więc czekała.

Czekała i czekała, a jej powieki stawały się coraz cięższe. W końcu nie tyle może zasnęła, co zdrzemnęła się na moment, i zaraz się obudziła, nadal nieprzytomna ze zmęczenia i zirytowana.

Barwa światła w pokoju zmieniła się, cienie pogłębiły się i wydłużyły. Teo stał przed nią i przyglądał jej się z takim wyrazem twarzy, jakby rozważał, czy warto byłoby ją zamordować. Wyprostowała się, przetarła oczy i rozejrzała się dookoła.

Byli sami.

– Co się dzieje? – odezwała się, wyraźnie zaspanym głosem.

– Będziemy mieli dziecko – odparł ponurym głosem. – Najserdeczniejsze gratulacje, panno Ransom.

Amelia ściągnęła brwi.

– Chyba najwyższy czas, żebyś przestał zwracać się do mnie w ten oficjalny, przesycony sarkazmem sposób – powiedziała. – Spłodziliśmy razem dziecko, więc barierę prywatności najwyraźniej udało nam się pokonać.

Uśmiechnął się bez cienia wesołości.

– Pozwoliłem sobie zlecić ochronie odnalezienie auta, którym wdarłaś się na teren mojej posiadłości.

– Nigdzie się nie wdarłam. Dotarłam tu jedną z polnych dróg, których nikt nie używa, ale to jeszcze nie akt sabotażu, prawda?

Zignorował ją.

– Kazałem też przynieść tu twoją podróżną torbę. – Zmierzył ją chłodnym spojrzeniem. – Chodź ze mną. Musimy gdzieś pójść, a robi się już późno.

Gdy ruszył w stronę drzwi, podniosła się automatycznie i spojrzała w okno. Wszystko wskazywało na to, że jej drzemka trwała całkiem długo, bo na dworze czaił się już zmierzch. W normalnych okolicznościach rzadko ulegała zmęczeniu, natomiast niezależnie od tego, gdzie się znajdowała, koło piętnastej zawsze padała ofiarą iście wilczego głodu.

Ostatnio odkryła jednak, że ciąża wszystko zmieniła. Cieszyła się, że w tej chwili jedynym nieprzyjemnym objawem jej stanu jest tylko znużenie, bo przecież lepsze to niż długie tygodnie mdłości.

Podążyła za Teem, starając się dotrzymać mu kroku, i nawet nie zapytała, dokąd idą. Powiedziała sobie, że nie musi biec za nim jak wystraszona służąca. W ogóle nie musi spełniać żadnych jego poleceń ani próśb.

– Zaczekaj – powiedziała. – Dlaczego kazałeś zabrać z auta moją torbę?

Nie zatrzymał się, nawet się nie obejrzał.

– I dokąd idziemy? – dorzuciła nieco bezradnie.

– Wszystko stanie się jasne w odpowiednim czasie – odparł.

Amelia pomyślała, że sytuacja, w jakiej się właśnie znalazła, jest w pewien sposób pokrzepiająca. Całe życie spędziła w towarzystwie dorosłych, którzy nigdy nie znali odpowiedzi na jej pytania i to ona zawsze była tą, od której oczekiwano wyjaśnień. Nawet wpływowi i niezwykle bogaci mężczyźni, których poślubiała jej matka, zwracali się właśnie do niej, gdy związek nieuchronnie się rozpadał. Amelia zawsze wiedziała, że w małżeństwie Marie źle się dzieje, kiedy jej ojczymowie nagle okazywali jej większe niż zwykle zainteresowanie i chętnie zapraszali ją do

restauracji, na kawę lub na długi spacer. Wypytywali ją wtedy, co Marie najbardziej lubi i jak najlepiej z nią rozmawiać.

Nigdy nie miała okazji być posłuszną, bo w jej życiu nie było nikogo, komu mogłaby je okazać, i teraz nagle doszła do wniosku, że naprawdę przyjemnie jest nie mieć gotowych odpowiedzi ani planu działania. Mogła przyjąć do wiadomości, że Teo ma wszystko pod kontrolą.

Wyszła za nim na zewnątrz, prosto w zimne, świeże powietrze styczniowego wieczoru, i wsiadła do czekającego przed pałacem samochodu. I dopiero wtedy zadała sobie pytanie, dlaczego zaufała człowiekowi, któremu w żadnym razie nie powinna była zaufać, chociaż w gruncie rzeczy nie musiała się nad tym długo zastanawiać.

Wóz ruszył drogą prowadzącą nie ku bramie i dalej, ku miasteczku, ale w głąb posiadłości. Obejrzała się i popatrzyła na rozświetlony dom, od którego szybko się oddalali. Przez głowę przemknęła jej myśl, że chociaż udawała niechęć wobec dziewiętnastego księcia Marinceli, to musiała uczciwie przyznać, że jest on w pewien sposób uczciwy. Zachował rezydencję w nienagannym stanie i dbał o nią, a przecież bez trudu mógłby zamienić ją w turystyczną atrakcję, hotel czy ekskluzywne spa.

Nie mogła powiedzieć, że dobrze zna Tea, ale już jako nastolatka zdawała sobie sprawę, że bardzo, bardzo poważnie traktuje on swoje obowiązki. Gdyby teraz jechała z nim sama, być może czułaby pewien niepokój, nosiła jednak pod sercem jego dziecko i miała świadomość, że teraz jest w jego oczach nietykalna.

Wszystko jedno, co zaplanował, z całą pewnością nie było to nic złego, bo nigdy, przenigdy nie naraziłby na ryzyko swojego dziecka.

Kiedy więc auto zatrzymało się przy schodkach prowadzących do wejścia do odrzutowca, grzejącego silniki na prywatnym lotnisku, była zupełnie spokojna. Weszła do samolotu i usadowiła się wygodnie, zupełnie

niezaskoczona spokojną elegancją wystroju wnętrza. Właśnie tego spodziewała się po Teo – upodobania do najwyższego komfortu bez rzucających się w oczy luksusów.

Lot był krótki. Europa nie była ogromnym kontynentem i wszędzie było tu blisko. Wylądowali w jakimś odludnym miejscu, jeśli sądzić po nielicznych światłach, migoczących w ciemności za oknami. Teo, który zniknął gdzieś na czas podróży, teraz pojawił się znowu, i Amelia zamrugała z niedowierzaniem, przekonana, że ma halucynacje – dziewiętnasty książę Marinceli miał na sobie dżinsy, t-shirt i wełniany sweter, bardziej odpowiedni dla norweskiego rybaka niż hiszpańskiego granda.

Patrzył na nią, więc wolała ugryźć się w język niż zapytać, co się dzieje. Kiedy wysiedli z samolotu, spodziewała się zwykle towarzyszącej mu pompy, jednak na pojedynczym pasie, który trudno byłoby nazwać lotniskiem, nikt na nich nie czekał. Było ciemno, lecz dookoła lądowiska na tle granatowego nieba rysowały się ostre kształty gór.

– Co to za góry? – spytała, drżąc pod uderzeniami lodowatego wiatru.

– Witamy w Pirenejach – odparł Teo, który czekał na nią u stóp schodów.

Amelia zapięła guziki kurtki i otuliła się nią ciaśniej. Nie czuła się już tak bezpiecznie jak wcześniej, poszła jednak za nim prosto w gęstą ciemność, bo nie miała przecież wyboru. Na szczęście Teo szybko doprowadził ją do masywnego terenowego auta z czterokołowym napędem, które stało z boku lądowiska. W samochodzie nie było szofera, a w zasięgu wzroku niczego, co przypominałoby budynki lotniska. Kiedy się obejrzała, schodki odrzutowca unosiły się już powoli, co niewątpliwie oznaczało, że maszyna szykuje się do odlotu.

Miała wielką ochotę odwrócić się na pięcie i pobiec do samolotu, ale powstrzymała się, a gdy Teo z drwiącym ukłonem otworzył przed nią drzwi auta, zdołała się nawet uśmiechnąć.

Jechali krętą drogą, miejscami bardzo wąską. Reflektory wydobywały z ciemności potężne skały i strome zbocza, kończące się, nie wiadomo gdzie. Teo nie korzystał z GPS-a i Amelia nie wiedziała, czy zna drogę na pamięć, czy wyznaczył sobie jakąś samobójczą misję. Tak czy inaczej, nadal wydawało jej się mało prawdopodobne, aby mógł narazić na poważne ryzyko swojego dziedzica, dwudziestego księcia Marinceli.

Tak, księcia, ponieważ przeprowadzający test DNA lekarz poinformował ich oboje, że dziecko jest chłopcem. Amelii nie zależało na poznaniu płci maleństwa, jednak teraz, kiedy już wiedziała, nie mogła się oprzeć wrażeniu, że od samego początku tkwiło w niej przekonanie, że urodzi syna. I nie mogła się już doczekać, kiedy go zobaczy.

Podróż dobiegła wreszcie końca, być może dlatego, że droga, którą jechali, nagle się skończyła. Teo zatrzymał wóz przed niewielkim domkiem z drewnianych bali, z pokrytym grubą warstwą śniegu dachem.

Amelia spodziewała się, że zaraz wybiegnie do nich jeden z niezliczonych służących Tea i zaprowadzi ich gdzieś indziej, lecz Teo wyłączył silnik, posłał jej trudne do odczytania spojrzenie i wysiadł.

Nie ruszyła się z miejsca – nie czuła takiej potrzeby. Siedziała nieruchomo, z dłonią opartą na małym wzgórku na wysokości talii, wzgórku, z którego pewnego dnia miał się wyłonić jej synek, i obserwowała, jak jego ojciec podchodzi do drewnianego domku, wyjmuje klucz z kieszeni i otwiera nim drzwi.

Zniknął w środku, lecz po chwili wrócił do auta i zaczął wyjmować rzeczy z bagażnika. Była tam jej torba i kilka innych. Dopiero wtedy

Amelia poruszyła się i wysiadła, chociaż instynkt wyraźnie podpowiadał jej, że popełnia błąd.

Teo zostawił drzwi domu otwarte. Weszła, niepewna, co zobaczy. Cała ta sytuacja napełniała ją głębokim niepokojem.

Wnętrze domku uderzało skromnością. W głównym, dużym pokoju znajdował się stolik, z boku kuchenka i zlew z wąskim blatem. Pozostałą część zajmowały dwie bardzo stare skórzane kanapy, za którymi widać było drzwi prowadzące do sypialni. Amelia widziała, że jest to sypialnia, ponieważ pochylony Teo stał tam obok dużego łóżka. Dopiero kiedy się wyprostował, zobaczyła, że w ręku trzyma zapaloną latarnię.

A raczej nie tyle latarnię, co lampę naftową.

Jej serce zrozumiało, co się dzieje, zanim udało się to mózgowi. Ogarnęła wzrokiem mroczne wnętrze. Ogień. Więcej naftowych lamp, poustawianych tu i ówdzie.

Nie myliła się, nic z tych rzeczy. Znajdowali się w sercu wysokich gór, w miejscu pozbawionym elektryczności.

– Co tutaj robimy? – zapytała, kiedy wyszedł z sypialni, z enigmatycznym wyrazem twarzy. – Czy to jakaś podróż w czasie?

Serce zabiło jej mocniej, bo dziewiętnasty książę Marinceli uśmiechnął się.

Zupełnie jak pająk do muchy.

ROZDZIAŁ PIĄTY

– Przyjeżdżam tu co najmniej raz do roku, żeby na chwilę uciec od codzienności – poinformował ją chłodno, siadając na kanapie naprzeciwko wejścia. – Czasami poluję, a czasami przygotowuję posiłki z zapasów. Ogólnie rzecz biorąc, cieszę się ciszą i często sporo się dowiaduję o sobie. Szczerze polecam taki sposób spędzania czasu.

Amelia mieszkała w Kalifornii, mogła więc całą dobę rozmawiać o życiu w zgodzie z naturą, ale nie z Teem.

– Uznałeś, że do doskonały moment, żebyśmy wyjechali na wieś?

Sama usłyszała piskliwą nutę w swoim głosie. Nie zachowywała się tak, jak powinna, lecz z drugiej strony, jak powinna się zachowywać w takich okolicznościach…

– Nie wiem, czy te warunki będą ci odpowiadały – rzekł z pełnym satysfakcji uśmiechem, na widok którego po plecach Amelii przebiegł zimny dreszcz. – Nie mogę jednak powiedzieć, aby mnie to szczególnie obchodziło.

– Zdaję sobie z tego sprawę – prychnęła. – Tym bardziej nie rozumiem, dlaczego nie mogliśmy zostać w twojej rezydencji, tej wyposażonej w elektryczność, no, wiesz…

– Problem ze wszystkimi moimi innymi rezydencjami polega na tym, że znajdują się w nowoczesnym świecie, natomiast tutaj nie ma nic oprócz człowieka i Boga. Oraz czasu i przestrzeni, które sprzyjają refleksji nad życiem.

– Nie mam się nad czym zastanawiać, ale dziękuję ci bardzo – prawie krzyknęła.

Nie była to jeszcze histeria, ale niewiele brakowało.

– Myślę, że razem oddamy się rozmyślaniom – powiedział.

– Co takiego?!

Posłał jej uśmiech, niezbyt miły. Nagle przypomniała sobie, że jest potomkiem wielkich wojowników i mężów stanu, tych, którzy stali w cieniu za królewskimi tronami, nie dbając o to, że światło nie pada na nich.

– Bardzo mi przykro, moja droga, ale chyba zdawałaś sobie sprawę, że sytuacja, w jakiej mnie postawiłaś, raczej nie wzbudzi mojego entuzjazmu – rzekł.

– Oboje widzieliśmy, jak nakładałeś prezerwatywę – wycedziła powoli. – Jeżeli próbujesz powiedzieć, że rozmyślnie zaszłam w ciążę, to będziesz musiał wyjaśnić mi, jak to się stało, skoro użyłeś kondomu.

O mały włos nie rzuciła mu w twarz, że tamtej nocy była dziewicą. Podświadomie czuła, że jest to broń, ale taka, której on mógłby użyć przeciwko niej, dlatego w ostatniej chwili ugryzła się w język.

Teo obserwował ją zimno, z namysłem.

– Nie prowadzilibyśmy teraz tej rozmowy, gdybym wtedy wiedział, kim byłaś.

– To nie ma nic…

– Dosyć, proszę.

Nie podniósł głosu, nie musiał. Amelia umilkła. Przez głowę przemknęła jej myśl, że w gruncie rzeczy nie ma pojęcia, kim tak naprawdę jest siedzący przed nią człowiek. Miała dowiedzieć się tego dopiero teraz, tutaj, na kompletnym odludziu, bez najmniejszej szansy na pomoc. Nie było

tu nie tylko elektryczności, ale i telefonu, a jedno krótkie spojrzenie powiedziało jej, że komórka nie ma zasięgu.

Był tu tylko on, Teo.

– Nie zamierzam sprzeczać się z tobą na temat tego, co się stało – rzekł. – Nie chcę słuchać wymówek ani wykrętów, zresztą twoje słowa i tak nie mają najmniejszego znaczenia. Oboje dobrze wiemy, co zrobiłaś. A w rezultacie jesteś w ciąży, ze mną.

Wzięła głęboki oddech, świadoma, że stoi w progu domu należącego do tego mężczyzny, znowu. I znowu, tak samo jak trochę wcześniej, poczuła się jak wezwana do gabinetu dyrektora szkoły niesforna uczennica. Musiała natychmiast przywołać się do porządku, przypomnieć sobie, że nie jest uczennicą i nie czeka na żadną karę.

Teo mógł sobie być księciem czegoś tam, a nawet całego świata, ale z pewnością nie miał nad nią władzy. Zerknęła przez ramię, przez wciąż otwarte drzwi, doskonale wiedziała jednak, że nie ma po co biec do auta, ponieważ Teo wyjął kluczyki ze stacyjki.

Z impetem zatrzasnęła drzwi drewnianego domku i od razu zrobiło jej się trochę cieplej. Przynajmniej tyle. Zdjęła kurtkę i rzuciła ją na jedno z kuchennych krzeseł, a potem bez pośpiechu podeszła do kanapy i zajęła miejsce naprzeciwko Tea.

– Proszę mi wybaczyć, wasza ekscelencjo, ale pachnie mi to porwaniem – zamruczała.

Lekceważąco machnął ręką.

– Możesz to nazwać, jak ci się podoba. Przywiozłem cię tutaj, ponieważ jest to idealne miejsce na kontemplację.

Wyraźnie zależało mu, żeby jakoś zareagowała na nacisk, jaki położył na ostatnie słowo, dlatego złośliwie odmówiła mu tej satysfakcji.

– Mieszkam w San Francisco – odezwała się, patrząc na niego uważnie. – Nie mam nic przeciwko kontemplacjom i medytacjom, słowo daję, mam jednak wrażenie, że tutaj nie będę mogła spokojnie oddać się przemyśleniom.

– Nasza sytuacja rysuje się następująco – powiedział po chwili milczenia. – Dziedzic księstwa Marinceli nie może być dzieckiem z nieprawego łoża.

– Nie wyjdę za ciebie, nie ma mowy.

– Nie ma to nic wspólnego z sympatią czy chęciami. Fakty są takie: moje dziecko, mój syn, zostanie następnym księciem, dwudziestym z kolei. Nie dość, że musi przyjść na świat z moim nazwiskiem, ale ma też zostać wychowany w duchu rodzinnych tradycji oraz odpowiedzialności i obowiązków towarzyszących tytułowi, który kiedyś przyjmie.

– Nie wyjdę za ciebie i na pewno nie będziesz wychowywał mojego dziecka.

W tonie jej głosu musiało być całe morze agresji, ponieważ ciemne oczy Tea błysnęły, niewątpliwie z zadowolenia.

– Pewnie nie zaskoczy cię informacja, że nie jesteś pierwszą kobietą, która z niechęcią myślała o poślubieniu księcia Marinceli. Jedna z naszych rodzinnych legend głosi, że to niechętna panna młoda stała się inspiracją dla pierwszego księcia, który zbudował rezydencję zdolną pełnić także rolę więzienia…

Amelia mocno zacisnęła wargi, by nie szczękać zębami.

– Nie słuchasz mnie – powiedziała karcąco, świadoma, że pewnie jeszcze bardziej go rozdrażni. – Nie będzie żadnego ślubu. Dawno temu przyrzekłam sobie, że nigdy nie wyjdę za mąż.

– A ja uroczyście obiecałem sobie, że będę się trzymał z daleka od Marie i wszystkich, którzy mają z nią jakikolwiek związek. – Teo rozłożył

dłonie w kpiącym geście. – Przyrzeczenia i obietnice są po to, by je łamać, przecież to jasne.

– Chyba powinnam cię uprzedzić, że umawiam się wyłącznie z normalnymi mężczyznami – ciągnęła Amelia, jakby w ogóle go nie słyszała. – Z normalnymi mężczyznami, czyli takimi, dla których pierwsza randka to spotkanie w kawiarni, takiej zupełnie zwyczajnej. Tak wygląda pierwsza randka, mój drogi – bez ochroniarzy, książęcych tytułów i imponujących rezydencji…

– I bez przebierania się, żeby uwieść niczego nieświadomą ofiarę, prawda?

Parsknęła głośnym śmiechem.

– Nigdy nie nazwałabym cię „niczego nieświadomą ofiarą”! Cóż, życie z nieprzyzwoicie bogatymi ludźmi odziera wszystko z uroku, wszystko, każdy drobiazg. Widzisz, mój drogi, ja chcę mieć ujemne saldo na karcie kredytowej, chcę zamawiać pizzę na wynos i żyć u boku uczciwego, normalnego mężczyzny, który będzie mnie cenił dla mnie samej, nie dla mojego pochodzenia czy majątku. Nie życzę sobie, by ktoś traktował mnie jak trofeum, i tyle.

Zmierzył ją pełnym sceptycyzmu spojrzeniem.

– To bardzo przyziemne marzenia.

– Ale moje, prawda? – Znowu o mały włos nie straciła panowania nad sobą. – A tobie nic do tego!

– Możesz sobie fantazjować, ile dusza zapragnie – rzekł gładko. – Bo to i tak niczego nie zmieni. Wyjdziesz za mnie i zostaniesz księżną Marinceli. Wierz mi, że mówię o tym bez najmniejszej przyjemności.

Doskonale wiedziała, że nie może zachowywać się i myśleć jak nastolatka, którą kiedyś była. Jak nastolatka, która najbardziej pragnęła

aprobaty i akceptacji Tea, chociaż akurat o tym faktycznie mogła tylko pomarzyć.

– Musisz jednak czerpać jakąś przyjemność z tej sytuacji, bo inaczej nie uprowadziłbyś mnie i nie uwięził gdzieś w górach, a wszystko to po to, żeby wygłaszać jakieś idiotyczne oświadczenia!

– Jesteś koszmarnie wygadana. – Oczy Tea błysnęły. – Jako dziecko też taka byłaś. Widzę, że upływ czasu nawet w najmniejszym stopniu nie ograniczył twojej bezczelności.

Amelia prychnęła lekceważąco.

– Jeśli tak, to w żadnym razie nie powinieneś żenić się z taką wyszczekaną, bezczelną istotą.

Prawie uwierzyła we własne słowa. Prawie zdołała wmówić sobie, że jest kompletnie zblazowana i odporna na jego ataki. Prawie.

– Stoisz niżej ode mnie pod każdym względem – rzucił tak lekkim tonem, że minęło parę sekund, zanim w pełni dotarło do niej, co powiedział. – To niewyobrażalne, nieznośne upokorzenie, że ja, książę Marinceli, muszę się zniżyć do poślubienia córki osławionej łowczyni majątków.

Wszystko to wygłosił tak uprzejmym i cichym głosem, że przez chwilę kusiło ją, by uznać, że się przesłyszała.

– Jednak nic nie mogę na to poradzić – ciągnął. – Zrobiłaś to, co zrobiłaś, postawiłaś mnie wobec faktów dokonanych i teraz oboje do końca życia będziemy musieli za to płacić.

Amelia nie mogła się oprzeć wrażeniu, że traktuje ją jak ostatnią idiotkę, przede wszystkim dlatego, że jeszcze nie wyraziła zgody na jego propozycję.

– Sam nie jesteś takim znowu idealnym kandydatem na męża – warknęła.

W odpowiedzi roześmiał się szczerze.

– Jestem kimś znacznie więcej niż idealnym kandydatem – rzekł. – W zamian za to, co zrobiłaś, dostąpisz tak wielkiego wyniesienia w hierarchii społecznej, na jakie w ogóle nie zasługujesz. To ogromna, trudna do ogarnięcia umysłem nagroda. W całej Europie nie ma takiej kobiety królewskiego rodu, która nie uznałaby za przywilej wejścia do mojej rodziny.

Amelia potrząsnęła głową, bezskutecznie próbując się opanować.

– Nie jestem pewna, czy dobrze cię rozumiem – zaczęła. – Czyżbyś naprawdę sugerował, że jestem kimś gorszym od ciebie? Może przedstawiłbyś mi więcej obraźliwych przykładów, co?

– Jest, jak jest. – Teo znowu wzruszył ramionami. – Świeży zastrzyk krwi pewnie pozytywnie wpłynie na kondycję naszej rodziny, ale to już odrębna kwestia. Tak czy inaczej, musimy teraz skupić się na tym, co naprawdę ważne.

– Naprawdę ważne jest jedynie moje dziecko – odpaliła. – Gdyby było inaczej, spokojnie siedziałabym w tej chwili w moim mieszkaniu w San Francisco, z satysfakcją zapominając stopniowo o twoim istnieniu.

Popatrzył na nią tak, jakby była niezwykle interesującym zoologicznym okazem.

– Możesz z pełną odpowiedzialnością stwierdzić, że nie stworzyłaś tej sytuacji celowo i z rozmysłem? – zapytał.

– Nie zaszłam z tobą w ciążę z rozmysłem, jeśli to masz na myśli. – Zamierzała powiedzieć coś zupełnie innego, ale zabrakło jej odwagi. – Możesz w to wierzyć albo nie, lecz był to wypadek. Niezależnie od tego, musimy sobie coś wyjaśnić, raz na zawsze. To dziecko, moje dziecko, z przypadku czy nie, będzie powitane z największą radością.

Teo wychylił się do przodu, nie spuszczając z niej wzroku.

– Nie zastawiłaś na mnie pułapki, żeby się wzbogacić, tak?

– Tak, skarbie – prychnęła. – Wyobrażasz sobie, że marzyłam o tym, aby związać się z mężczyzną, który czuje do mnie nienawiść i mimo tego zamierza zmusić mnie do małżeństwa? Z człowiekiem, dla którego nie liczy się nic poza jego drzewem genealogicznym?

– Wielka szkoda, ale jakoś mnie to wszystko nie przekonuje.

– Wolałabym umrzeć, niż spędzić z tobą resztę tej nocy, nie mówiąc już o reszcie życia!

Ku jej zdziwieniu, jego ekscelencja nie dał pokazu arogancji.

– Nie musisz rzucać się w przepaść – oznajmił sucho. – Szczególnie teraz, bo musiałbym cię ratować. Słuchaj, potraktuj pobyt tutaj jako szansę przekonania mnie, że mówisz prawdę. W najbliższej okolicy nic tu nie ma, dosłownie nic, tylko ty i ja. Nie ma żadnych symboli bogactwa ani pozycji. Znaleźliśmy się w tej sytuacji przez ciebie, lecz to nie znaczy, że dostaniesz to, na czym ci zależy.

– Najwyraźniej – mruknęła.

– Zostaniemy tu tak długo, jak długo będzie trzeba – rzekł cicho. – Jeżeli nie zaplanowałaś całej tej akcji, teraz masz okazję tego dowieść.

Amelia potrząsnęła głową.

– A jeśli nie mam potrzeby niczego ci dowodzić, bo jestem dorosłą kobietą, której nie zależy na twojej aprobacie?

Zmierzył ją zupełnie pozbawionym ironii spojrzeniem, jakby poważnie się nad czymś zastanawiał.

– W takim razie, *carina*, czeka cię bardzo ciężka zima.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W pierwszej chwili pomyślała, że to żart.

– Nie będziemy siedzieć tutaj całą zimę – powiedziała.

– Tak? Cóż, to zależy wyłącznie od ciebie.

Patrzyli na siebie długo. Amelii wydawało się, że ciągnie się to bez końca.

Teo nie miał najmniejszego zamiaru ułatwiać jej sytuacji, zwłaszcza że im dłużej jej się przyglądał, tym bardziej nie rozumiał, jakim cudem nie rozpoznał jej pod maską i całym tym sztafażem złożonym z rudych włosów, intensywnego makijażu i śmiało wydekoltowanej sukni.

Nagle dotarło do niego, że właśnie teraz pierwszy raz może patrzeć na nią bez żadnych ograniczeń. Nie była już nastolatką ani jego przybraną siostrą i nie ukrywała twarzy pod maską.

Pogodził się już z faktem, że Amelia urodzi jego syna. W pełni zdawał sobie sprawę ze wszystkich związanych z tym komplikacji, ponieważ zawsze dokładnie wiedział, kim jest i jaką zajmuje pozycję. Jednak im dłużej wpatrywała się w niego, próbując odczytać jego intencje, tym wyraźniej uświadamiał sobie, że płonie w nim pożądanie, coraz silniejsze i coraz trudniejsze do zignorowania.

Na szczęście nie należał do mężczyzn, którzy łatwo ulegają namiętności. Popełnił ten błąd tylko raz, ostatniej jesieni, podczas maskarady. I chociaż coraz trudniej było mu opanować entuzjastyczną

reakcję swoich zmysłów na jej obecność, to po prostu musiał to zrobić, i tyle.

Wstał, z pewną satysfakcją odnotowując jej nerwowy ruch, zupełnie jakby szykowała się do odparcia ataku, podszedł do regału wypełnionego książkami zgromadzonymi tu przez parę pokoleń jego przodków, wybrał jedną z nich i spokojnie usadowił się przy kominku. Udawał, że w ogóle go nie obchodzi, co Amelia robi, lecz naprawdę był świadomy każdego jej oddechu.

Aż nadto świadomy.

– Zamierzasz siedzieć i czytać, tak po prostu? – wykrztusiła zdławionym głosem.

Powoli podniósł wzrok znad książki.

– Masz dla mnie jakąś inną propozycję? – zagadnął.

I z przyjemnością zobaczył, jak jej szyję i policzki zalewa ognisty rumieniec.

Kiedy ogarnęła go senność, bez słowa poszedł do sypialni, zostawiając ją samą. Zaczęła coś mówić, ale szybko umilkła. Powiedział sobie, że uczucie niepewności pomoże jej zrozumieć powagę sytuacji, lecz w głębi serca doskonale wiedział, że jego gambit ma wiele wspólnego z zemstą, co w gruncie rzeczy wcale mu nie przeszkadzało.

Całą noc przewracał się z boku na bok i kiedy w końcu o świcie podniósł się z łóżka, znalazł Amelię zwiniętą w kłębek na kanapie, w tym samym miejscu, gdzie zostawił ją wieczorem. Na stoliku leżały opakowania po zdrowotnych batonikach z orzechami i zbożowymi płatkami, które najwyraźniej zjadła na kolację.

Leżała przykryta kilkoma kocami i narzutami, i oddychała spokojnie. Teo nie pozwolił sobie na dziwnie miękki odruch, który przyspieszył rytm jego serca, i, ponieważ ogień w kominku kompletnie wygasł, postanowił

skorzystać z tej doskonałej okazji, by pouczyć ją, jak wygląda życie w górach.

Niewykluczone, że obudził ją z pewną przyjemnością.

– Co ty wyprawiasz? – odezwał się głośno. – Jesteśmy w górach, w zimie! Ogień trzeba podsycać, nie można go tak zostawiać! Kobieta, która planuje urodzić dziecko i dbać o nie, powinna mieć lepsze pojęcie o tym, jak przetrwać.

Nadal miała na sobie te same rzeczy, co poprzedniego dnia. Jej długie jasne włosy były cudownie splątane i kiedy się podniosła, odsunęła tę miękką grzywę do tyłu. A potem popatrzyła na niego spod ściągniętych brwi. Nieprzytomnie.

Powiedział sobie, że nie ma w niej nic, co mogłoby mu się wydać atrakcyjne. Była bardzo zwyczajna, nieelegancka, może nawet trochę wulgarna. Ale mógł to sobie powtarzać bez końca…

– Nie zamierzałam wychowywać dziecka w drewnianej szopie na szczycie góry – odparła arogancko.

Było całkowicie jasne, że on sam, jego pozycja i znaczenie, nie robią na niej najmniejszego wrażenia. Teo naprawdę nie wiedział, co o niej myśleć.

– Nie umiesz ani rozpalić ognia, ani go podtrzymać? – Założył ramiona na piersi i zmierzył ją surowym wzrokiem. – Trudno mi w to uwierzyć. Chyba musisz mieć jakieś zupełnie podstawowe umiejętności.

– Nie, nigdy nie rozpalałam ognia – parsknęła. – Pewnie dlatego, że wolę podziwiać naturę z daleka, a nie zdawać się na jej łaskę i niełaskę.

Nie potrafił oderwać oczu od tej jej wysuniętej, upartej szczęki.

– Nie spędzam wakacji pod namiotem – ciągnęła. – Moje umiejętności związane są raczej z finansami i dystrybucją środków, nie wspominając o rozmaitych innych ekonomicznych sztuczkach. Rozpalanie ognia jakoś nigdy mnie nie interesowało.

– Jasne, że nie – wymamrotał. – Dlaczego Marie miałaby nauczyć córkę czegoś użytecznego?

– Twoja obsesja na punkcie mojej matki nie wróży nic dobrego – odparła spokojnie, chociaż w jej fiołkowych oczach pojawił się niebezpieczny błysk. – Na szczęście jest też i pozytywna strona tego szaleństwa, która ukazuje cię jako zupełnie przeciętnego, nudnego faceta.

Próbowała go rozdrażnić i Teo z wielką irytacją zorientował się, że w zasadzie odniosła sukces, większy, niż miał ochotę przyznać. Oczywiście nie oznaczało to, że miał sprawić jej satysfakcję.

Problem z Marie polegał nie tyle na tym, że wyszła za jego ojca, co było oczywistą obrazą wobec pamięci matki Tea, lecz na tym, że stary książę oszalał na jej punkcie znacznie bardziej niż na punkcie jakiejkolwiek innej kobiety, wliczając w to swoją żonę. I właśnie tego Teo nie zamierzał jej wybaczyć.

– Pozwól, że jeszcze raz wytłumaczę ci, jak przedstawia się twoja sytuacja – rzekł. – Masz dwa wyjścia.

– Dwa wyjścia? Co ty nie powiesz… Wydawało mi się, że pozbawiłeś mnie możliwości wyboru wczoraj, kiedy mnie porwałeś!

Kąciki ust Tea lekko zadrgały.

– Zawsze jest jakiś wybór, *carina*. Może nie zawsze najlepszy, ale jednak.

– To bez sensu. – Amelia potarła twarz dłonią. – Musisz zdawać sobie sprawę, że nie chcę za ciebie wyjść, a tym bardziej wychowywać dziecko razem z tobą.

– Słucham? – wycedził Teo. – Zamierzam osobiście wychowywać mojego syna i nikt nie odbierze tego doświadczenia ani mnie, ani jemu.

– Zabawne, bo dokładnie pamiętam opowieści twojego ojca o całej armii nianiek, które się tobą zajmowały. Pamiętam też, że uważał cię za

dobrze wychowanego młodego człowieka.

– Nie jestem moim ojcem.

Dopiero gdy te słowa zawisły w przestrzeni między nimi, uświadomił sobie, jak bardzo były prawdziwe, nie miał jednak zamiaru roztrząsać tego o świcie, w towarzystwie córki kobiety, która zniszczyła starego księcia.

– Możesz trzymać mnie pod kluczem do śmierci, a i tak nie zmienię zdania – powiedziała dobitnie, jakby składała jakąś przysięgę.

Teo uśmiechnął się ponuro.

– Wobec tego na pewno spędzimy tu sporo czasu.

Popatrzyła na niego spokojnie.

– Wydawało mi się, że oferujesz mi jakieś dwa wyjścia, nie wyrok. Cóż, w miarę upływu czasu coraz lepiej rozumiem, dlaczego najbogatszy i najbardziej wpływowy kawaler na świecie do dziś pozostaje wolny.

Teo nigdy nie zastanawiał się nad swoim charakterem. Nie widział takiej potrzeby. Był księciem, i tyle. To była kwintesencja jego egzystencji i wszystkiego, co go dotyczyło. Co więcej, w jego życiu nie było nikogo, kto śmiałby zakwestionować jego doskonałość.

Kto śmiałby z niego kpić.

Przypomniał sobie, że przywiózł ją tutaj, na szczyt tej góry, która stanowiła własność jego rodziny od czasów, gdy berło Aragonii opanowało te tereny w dwunastym wieku, bynajmniej nie po to, by załamywać ręce nad nieuprzejmością tej dziewczyny. Jego celem było złamanie jej oporu, to wszystko.

Nie mógł się zachwiać, ponieważ jego pierworodny musiał nosić jego nazwisko. Nie było innej możliwości.

– Jest między nami pewna chemia – oświadczył, świadomy, że to poważne niedomówienie. – Niejedno małżeństwo miało na starcie znacznie mniej.

– Tak, być może niejedno małżeństwo zawarte w pierwszym wieku naszej ery. – Amelia podniosła się, zbierając z kanapy miękki koc i przytulając go do piersi. – Rozumiem, że korzenie rodu Marinceli tkwią w odległej przeszłości, ale to nie oznacza, że macie żyć jak neandertalczycy.

Teo stał nad nią i patrzył na nią z góry. I jako dżentelmen powinien był cofnąć się teraz, aby dać jej więcej miejsca. Został wychowany na dżentelmena, lecz nagle okazało się, że przekazane mu zasady nie mają najmniejszego znaczenia. Nie poruszył się, nawet nie drgnął, i natychmiast zobaczył, z dziką satysfakcją, że Amelia wysoko unosi głowę i rumieni się.

– Tradycja rodu Marinceli jest ponadczasowa – zauważył, prawie z rozbawieniem. – Żyjemy zgodnie z nią, niezależnie od epoki.

– I na tym ma polegać wybór, jaki mi proponujesz? Mam się podłączyć pod tę tradycję? Nie, dziękuję.

Teo zamrugał. Nie była to typowa odpowiedź na jego propozycje, a już na pewno nie reakcja, jakiej oczekiwał od osoby, której zaoferował wejście do rodziny.

Ta kobieta doprowadzała go do szału.

Chciał wierzyć, że jest zwyczajną ignorantką, lecz lata, które spędziła w Hiszpanii, podważały tę tezę. Mieszkała z nimi, z jego ojcem i z nim samym, i było po prostu niemożliwe, by nie wiedziała, kim i czym są Marinceli.

Był bardzo bliski utraty panowania nad sobą.

– Kiedy będziesz gotowa dać sobie spokój z tymi bzdurami, zaakceptować rzeczywistość i zająć miejsce u mego boku, możesz spać ze mną w łóżku.

Przełknęła nerwowo i przyjrzała mu się z namysłem.

– Krótko mówiąc, chcesz, żebym uprawiała z tobą seks, tak?

– O, tak – rzekł niskim głosem. – Jak najczęściej i jak najbardziej intensywnie. Dowiedliśmy już przecież sobie nawzajem, że to wychodzi nam najlepiej, prawda?

– Dowiedliśmy sobie, że możemy to robić – odpaliła. – Na podstawie tego jednego razu nie mogę jednak powiedzieć, czy to faktycznie wychodzi nam najlepiej.

– Mam pomysł, jak to sprawdzić.

Prychnęła z niesmakiem, jednak nadal był zbyt blisko niej. Wyczytał prawdę w jej zarumienionych policzkach i rozszerzonych źrenicach.

– Mogę spać w łóżku tylko wtedy, jeśli zgodzę się uprawiać z tobą seks, czy tak? – Uniosła brwi. – Dobrze rozumiem warunki tego twojego małego szantażu?

Wzruszył ramionami, jakby było mu wszystko jedno. Miał wrażenie, że rzeczywiście powinno mu być wszystko jedno, jednak wcale tak nie było.

– To nie szantaż, *carina*, to wybór. Jeżeli chcesz spać w łóżku, musisz uznać je za małżeńskie łoże. To chyba słuszne, co?

– Nie mam zamiaru wyjść za ciebie – powiedziała powoli i dobitnie, z obraźliwą bezpośredniością. – Ani spać z tobą w jednym łóżku. To wykluczone.

– Szkoda – odparł zimno. – Gdybyś zgodziła się dzielić ze mną małżeńskie łoże, traktowałbym cię jak księżnę i w niezwykle przyjemny sposób spędzilibyśmy czas na łonie natury przed ślubem. Ale skoro odmawiasz…

– Odmawiam. Zdecydowanie.

Skinął głową.

– W takim razie możesz spać na tej kanapie. I będę cię traktował jak służącą.

– Czy to aby na pewno odpowiedni moment na rozmowę o twoich obsesjach i fobiach? O tym, czy kobieta może być tylko albo księżną, albo służącą?

– Kobieta jako taka może być kim zechce – rzucił surowo. – To tylko twój wybór jest ograniczony, ponieważ pozbawiłaś mnie możliwości decydowania o moim dalszym życiu.

Było to ponure zwycięstwo, ale jednak zwycięstwo – Amelia pobladła i nie zdobyła się na żadną ripostę.

– Masz pilnować ognia w kominku, bo nie mam ochoty zamarznąć – podjął. – Oczekuję trzech posiłków dziennie. I możesz być mi wdzięczna, ponieważ nie spodziewam się po tobie wielkich wyczynów kulinarnych.

– Och, powodzenia – mruknęła, już mniej blada.

– I jeszcze jeden warunek, dla ciebie pewnie najtrudniejszy do spełnienia – ciągnął Teo. – Oczekuję od ciebie szacunku i posłuszeństwa.

– Idź do diabła! – krzyknęła.

– A także minimum uprzejmości. Na twoim miejscu, poważnie przemyślałbym swoje zachowanie, zanim do końca stracę cierpliwość.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

– Zapomniałeś chyba, że istnieje jeszcze trzecia opcja – powiedziała Amelia przyciszonym głosem, ponieważ trudno jej było mówić przez zaciśnięte zęby. – Mogę całkowicie zignorować to twoje idiotyczne wystąpienie. Mogę usadowić się na kanapie, nie zwracać na ciebie najmniejszej uwagi i poczekać, aż ta zabawa cię zmęczy.

– Mogłabyś to zrobić – przyznał. – Jednak ja jestem mało skomplikowanym człowiekiem, szczególnie tutaj. Jeżeli nie podejmujesz się roli służącej, będę w stanie traktować cię wyłącznie jako kobietę, która ma zostać moją żoną.

Tym razem nie wzruszył ramionami, a jego twarde spojrzenie wprawiło ją w pewien niepokój.

– I będę się adekwatnie zachowywał – dorzucił.

Opanowała się z największym wysiłkiem.

– Myślę, że to absolutnie jasne, dla ciebie i dla mnie, że grozisz mi gwałtem – oświadczyła chłodno.

Miała nadzieję, że jej słowa będą dla niego upomnieniem albo obelgą, ale on uśmiechnął się tylko niebezpiecznie, wyciągnął rękę i powoli pogładził czubkami palców jej napiętą dolną szczękę, a potem przejechał kciukiem po jej wargach.

Poczuła się tak, jakby nagle buchnął między nimi płomień. Jej sutki naprężyły się i stwardniały, piersi wydały się cięższe niż zwykle, a po całym ciele przebiegł ni to gorący, ni to zimny dreszcz.

– Czujesz się zagrożona? – kpiąco zagadnął Teo. – Czy też odbierasz to zupełnie inaczej?

– Wszystko, co robisz, odbieram jako zagrożenie – wykrztusiła z trudem. – To naturalna konsekwencja uprowadzenia, nie sądzisz?

– Sądzę, że cała drżysz, *carina.* – Uśmiechnął się znowu. – I że jesteś przerażająco głodna... Gorąca i wilgotna, prawda?

Nie mogła udawać, nawet przed samą sobą, że mówił o jedzeniu.

– Oczywiście, że nie – wyszeptała.

– Cóż, wobec tego możesz iść do kuchni i sprawić mi satysfakcję w inny sposób. – Lekko uniósł jedną brew. – Dzień mam zwyczaj rozpoczynać od małego śniadania, o wiele prostszego i mniej obfitego niż to wasze, amerykańskie. A na razie wystarczy mi *cafe con leche*, bardzo proszę.

Powiedział „proszę”, lecz Amelia doskonale wiedziała, że jest to rozkaz. Naprawdę nie miała wyboru, a jednak, przez jeden przerażający moment zawahała się. Stała nieruchomo i patrzyła na niego, zastanawiając się, czy potrafi odczytać malujący się na jego twarzy wyraz.

Zastanawiała się też, co by się stało, gdyby zachowała się teraz tak, jak podpowiadał jej instynkt.

Weź się w garść, skarciła się surowo. Natychmiast.

I nie tyle cofnęła się, co dosłownie szarpnęła się do tyłu, byle znaleźć się dalej od niego, byle uciec od zbyt silnej pokusy.

Bo od fizycznego pożądania dużo gorszy był ból serca. Odwróciła się na pięcie, starając się powstrzymać łzy, które napłynęły jej do oczu i weszła do małej kuchni. Nad głębokim zlewem zamiast kranu znajdowała się pompa, za oknem zza zamarzniętych górskich szczytów wyglądało zimowe słońce.

Pomyślała, że dobrze, że ma się czym zająć, nawet jeżeli tym czymś była praca jakiejś rustykalnej kawiarki w drewnianym domku na szczycie góry. Woda z pompy była lodowata. Amelia napełniła nią rondel i jakimś cudem rozpaliła ogień. Przeżyła miłe zaskoczenie, kiedy w jednej z kuchennych szafek znalazła klasyczny metalowy ekspres do kawy. Napełniła pojemnik wodą z rondla i postawiła ekspres na fajerce.

– Czy to jest ulubione zajęcie książąt krwi? – zagadnęła. – Uciekają w góry i udają, że niczym nie różnią się od normalnych ludzi? Pewnie nie przyszło ci do głowy, że my, normalni ludzie, lubimy elektryczność i gaz, tak samo jak wy, wysoko urodzeni?

– Wolę, gdy służba wykonuje swoje zadania w milczeniu – oznajmił Teo.

– Więc trzeba było porwać lepszą służącą – odpaliła zadziornie.

Jednak to ona pośpiesznie spuściła wzrok, uciekając od jego spojrzenia.

Kiedy espresso było już gotowe, napełniła filiżankę, dolała mleka i zaniosła do pokoju.

– Co teraz? – spytała. – Obsłużyłam cię. Naprawdę tego chciałeś?

Podniósł filiżankę do ust i pociągnął łyk kawy z mlekiem.

– W normalnych okolicznościach kazałbym ci od razu zabrać się za mycie tej obrzydliwie brudnej podłogi, mam jednak na względzie fakt, że niezależnie od tego, co zrobiłaś i jakiego wyboru dokonałaś, jesteś matką mojego syna. Dlatego daję ci teraz godzinę wolnego czasu. Radzę, żebyś się umyła i doprowadziła do porządku. Później zjedz coś i wracaj do pracy, w lepszym humorze niż do tej pory, bardzo proszę.

– Ani myślę rozbierać się do naga w małym pomieszczeniu i w obecności człowieka, który trzyma mnie w niewoli i traktuje jako swojego prywatnego kopciuszka, serdeczne dzięki.

Ledwo wspomniała o rozbieraniu się do naga, a już oczyma wyobraźni zobaczyła nagiego Tea i natychmiast zakręciło jej się w głowie.

– Skoro nie chcesz spełniać poleceń, potraktuję to jako zaproszenie do postępowania zgodnie z moimi własnymi życzeniami – rzekł, nie odrywając oczu od filiżanki z kawą.

Amelia nie miała cienia wątpliwości, że jest zdolny wprowadzić w czyn groźby, którymi tak chętnie rzucał, i pierwszy raz w życiu doszła do wniosku, że najrozsądniej będzie trzymać język za zębami.

Czytała gdzieś, że rozwaga jest idealnym dopełnieniem odwagi i teraz miała okazję sprawdzić, czy rzeczywiście tak jest.

Dni biegły we własnym, niepowtarzalnym rytmie.

Amelia spała na kanapie przy kominku i chociaż nie rozbierała się do t-shirtu, który zazwyczaj traktowała jak piżamę, bez obaw zdejmowała ciepły sweter i spodnie. Teo nie próbował jej nawet dotknąć.

Powtarzała sobie, że jest z tego powodu ogromnie szczęśliwa.

Wczesnym rankiem budziło ją zimne, rozproszone światło. Dokładała drewna do ognia, nastawiała wodę i zostawiała ją na kuchence. W pierwszych dniach zastanawiała się, jak długo Teo zamierza ciągnąć tę farsę, jednak po pewnym czasie przestała o tym myśleć.

Za każdym razem, gdy go obsługiwała, oburzała się na jego wyniosłość i arogancję, lecz w głębi serca domowe prace, szczególnie te, którymi nigdy dotąd nie miała okazji się zajmować, zaczęły sprawiać jej przyjemność. Matka Amelii nigdy nie zniżała się do takich rzeczy i wychowała córkę w przekonaniu, że zasługują one na pogardę. „Sprytna kobieta prowadzi dom, a nie sprząta”, mawiała.

Jednak Amelia miała zupełnie inne odczucia. Znajdowała przyjemność w sprzątaniu i chyba traktowała je także jako coś w rodzaju pokuty, którą

sama sobie wymierzyła za wprowadzenie Tea w błąd, chociaż akurat do tego nigdy otwarcie by się nie przyznała.

Zimowe dni były krótkie i zdarzało się, że słońce w ogóle nie wychodziło zza ociężałych od śniegu chmur. Amelia odkryła, że proste, łatwe do wykonania prace to czysta radość. Wyszorowanie podłogi było dużo przyjemniejszym zajęciem niż rozwiązywanie finansowych problemów matki, a odkurzanie jest jak wakacje w porównaniu z wysłuchiwaniem przez telefon intymnych zwierzeń Marie, takich zwierzeń, jakich żadna córka słuchać nie powinna. Nigdy nie była dobrą kucharką, lecz tutaj mogła przygotowywać jedynie najprostsze dania i w tym zakresie sprawdzała się całkiem nieźle.

Wszystko to razem było o niebo przyjemniejsze niż towarzyszenie Marie w wieczornych wyjściach i wysłuchiwanie jej krytycznych uwag na temat stroju, fryzury, a nawet wyrazu twarzy, nie wspominając już o komentarzach i wskazówkach co do prywatnego życia córki.

W porównaniu z Marie, Teo był… niewymagający. Właśnie tak.

Tyle że ciągle ją obserwował. Często podnosiła wzrok i napotykała jego spojrzenie. Jej serce natychmiast zaczynało bić wtedy szybciej, chociaż powtarzała sobie, że to bez sensu. Kiedy przy dobrej pogodzie wychodził na krótkie wędrówki, dom bez niego wydawał jej się obcy i za duży.

Pewnego wieczoru, kiedy zjedli przygotowaną przez Amelię kolację, Teo zatrzymał ją, gdy wstawała od stołu, by posprzątać.

– Minęło dziesięć dni – powiedział.

Dziewczyna zamrugała, mocno zaskoczona, ponieważ nagle zdała sobie sprawę, że już jakiś czas temu przestała liczyć.

– Spodziewałem się znacznie uciążliwszych skarg – dodał.

– Prosisz o listę zażaleń? Czy raczej wyrażasz żal, że dotąd ci jej nie przedstawiłam?

– Jeśli liczysz, że mnie zmęczysz, mocno się mylisz. – Spojrzał jej prosto w oczy. – Mówiłem ci już, że dla nas, członków rodziny de Luz, czas nie ma wielkiego znaczenia. Dziesięć dni, dziesięć miesięcy, nieważne.

– Obawiam się, że nabierze to jednak pewnego znaczenia, nawet dla ciebie – oświadczyła sucho. – Bo istnieją konkretne ograniczenia czasowe dla mojego pobytu tutaj, no, chyba że planujesz osobiście odebrać poród…

Teo parsknął cichym śmiechem.

– Myślisz, że nie jestem w stanie sprowadzić tu całego zespołu medycznego?

– Nic, tylko groźby – zakpiła. – Dałeś mi wybór i ja go dokonałam. Nie moja wina, że teraz chciałbyś się wycofać.

– *Carina*, to nie ja budzę się w nocy, z trudem łapiąc oddech.

Nie mógł znać treści jej snów, na szczęście. Nie miał pojęcia, że budzi się tak rozpalona, że zrzuca z siebie koce, chociaż w pokoju panuje ziąb. Że jej uda płoną, piersi pulsują dziwnym bólem, a między nogami narasta pożądanie.

Nie wiedział. Myślał, że z trudem chwyta powietrze, podczas gdy ona bezgłośnie wypowiadała jego imię.

– Co z tego masz? – zagadnęła, przechylając głowę.

– Musisz sprecyzować, o co pytasz.

– Dostrzegam urok tego miejsca – powiedziała poważniej, niż zamierzała. – Łatwo tu zapomnieć o całym świecie, który teraz mieści się w komórce. Dobrze jest zdystansować się od nieznośnego zgiełku i nauczyć się słuchać własnych myśli.

Wszystko to było prawdą, rzecz jasna, ale chodziło także o samego Tea.

O Tea, którego nigdy nie zdołała zapomnieć. Czasami myślała, że w jakiś sposób wycisnął na niej piętno, swój znak, chociaż wcale nie czuł

do niej sympatii. Nie chciała do końca życia grać roli gospodyni domowej, lecz te dni były czymś innym. Były jak podarunek od losu.

– Lubię samotność – rzekł.

Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że starannie dobiera słowa. Starannie i ostrożnie.

– Tym razem to nie samotność – rzuciła. – Nie jesteś sam.

– Ale prawie sam.

Amelia spuściła wzrok, ale to niewiele jej pomogło, bo i tak miała go przed oczami, niezależnie od tego, czy na niego patrzyła, czy nie. I na pewno nie była osobą do końca normalną, skoro świadomość, że ten mężczyzna przetrzymuje ją w niewoli, wydawała jej się w jakiś sposób kojąca.

Teo darzył ją nienawiścią. Chciał się z nią ożenić i zdobyć prawa do swego dziecka, byłaby jednak ostatnią idiotką, gdyby sobie wyobrażała, że ma to cokolwiek wspólnego z nią samą. Nie było więc żadnego powodu, dla którego miałaby się przy nim czuć bezpiecznie.

– To cudnie, że w moim towarzystwie czujesz się prawie sam – zauważyła drwiąco.

– Wręcz przeciwnie – mruknął. – Wydaje mi się, że zawsze tu byłaś.

– Często przyjeżdżałeś tu z ojcem?

Długą chwilę milczał, mierząc ją zagadkowym spojrzeniem.

– Mój ojciec i ja nie byliśmy przyjaciółmi. Nie zachęcał mnie to tak bliskich kontaktów.

Amelia kiwnęła głową.

– Mama zawsze mówiła, że tragedia twojego ojca polegała na tym, że chciał czuć, ale nie potrafił.

Temperatura spojrzenia Tea natychmiast spadła.

– Doprawdy? – wycedził. – Jakimi jeszcze przemyśleniami na temat krótkiego, Bogu dzięki, okresu, który spędziła jako księżna Marinceli, podzieliła się z tobą twoja matka?

Nagle ogarnęło ją przekonanie, że nigdy nie będzie miała lepszej szansy, by powiedzieć mu o rzeczach, o których nie śmiała z nim rozmawiać, gdy była młodsza.

– Nigdy nie rozumiałeś mojej matki – zaczęła spokojnie. – Widzisz jedynie to, co znajduje się na powierzchni, myślisz schematami: blondynka o kuszących kształtach, zawsze w obcisłych rzeczach, wszystko na wierzchu, zero treści.

– Wolałbym w ogóle nie rozmawiać o twojej matce, jeśli łaska.

– Łatwiej o niej mówić, niż ją zrozumieć – ciągnęła nieustępliwie. – Sama pierwsza powiedziałaby, że tak samo łatwo jest zakochać się w bogatym mężczyźnie, jak w biednym, ale sęk w tym, że ona naprawdę się zakochuje, za każdym razem.

Przez parę sekund wydawało jej się, że szalejąca na zewnątrz burza śnieżna wdarła się do środka, bo wiatr zawył jak potępieniec, lecz było to tylko wrażenie.

– Jeżeli zamierzasz wdać się w rozważania na temat przepastnej głębi serca twojej matki, to lepiej daj sobie spokój.

– Jej związki może nie trwają długo, ale kiedy mówi, że kocha, nie kłamie. Kochała twojego ojca.

– Oszukała go – warknął Teo. – Przez nią zrobił z siebie głupca.

– Działa tak na mężczyzn, to fakt – przyznała. – Jednak to nie znaczy, że jej uczucie nie było prawdziwe. Rozumiem, że bierzesz pod uwagę tylko efekt, jaki jej obecność wywołała w życiu twojego ojca i twoim, ale…

– Dosyć! – Jego oczy płonęły. – Rodzice często opowiadali mi, że mieli wielkie szczęście – powiedział cicho, pełnym napięcia głosem. – Moi

dziadkowie zaaranżowali ich związek, do niczego ich nie zmuszając, ale przedstawiając konkretne korzyści. Tak czy inaczej, rodzice od początku czuli do siebie sympatię, a z czasem się pokochali. Po śmierci mamy spodziewałem się, że ojciec będzie długo ją opłakiwał, lecz on bardzo szybko zaczął się spotykać z kobietami. Zdaję sobie sprawę, że mężczyzna ma określone potrzeby, chociaż wolałbym nie myśleć o tej stronie życia mojego ojca, to chyba jasne. Tak czy inaczej, były to jego prywatne sprawy, nie moje. I jeśli nagle zapragnął się wyszumieć, to trudno, byłem w stanie przejść nad tym do porządku. Ale potem poznał twoją matkę i się zakochał.

– Los gorszy niż śmierć – mruknęła Amelia.

– Kochał ją, a ona go zostawiła. I wtedy zaczął opłakiwać ją, nie moją matkę. Wpadł w spiralę rozpaczy, pijaństwa i najzupełniej nieodpowiednich romansów. Wierzę, że właśnie cały ten chaos doprowadził do jego śmierci przed pięciu laty. I dlatego nie zamierzam jej wybaczyć.

Powtarzała sobie, że powinna ugryźć się w język, ale nie udało jej się.

– Chyba chcesz powiedzieć, że nie możesz wybaczyć jemu.

Gdy ujrzała, jak zmienił się na twarzy, serce ścisnęło jej się z bólu. Patrząc w jego oczy, wyraźnie zobaczyła inne oblicze bezwzględnego, bezkompromisowego księcia.

Syna, który najpierw stracił matkę, a potem ojca, i to jeszcze przed jego śmiercią. Tyle lat pragnęła, aby Teo wreszcie ją dostrzegł – dlaczego nie zdawała sobie sprawy, w jak niewielkim stopniu sama go dostrzega…

Wicher znowu zawył pod ścianami drewnianego domu. W kominku z głośnym trzaskiem pękło drewniane polano.

– Powinnaś posprzątać po kolacji – odezwał się pozbawionym wyrazu głosem. – I masz sadzę na twarzy.

W innych okolicznościach poczułaby się zażenowana, lecz dziś jego zachowanie nie miało żadnego znaczenia.

– Lepsza sadza niż smutek – odparła.

Nawet nie zauważyła, kiedy się poruszył – nie minęła sekunda, a już zerwał się na równe nogi i pociągnął ją w górę, ku sobie, zaciskając duże dłonie na jej barkach.

– Służące nie rozmawiają ze mną o smutku – zawarczał groźnie. – I nie ośmielają się wspominać mojego zmarłego ojca, rozumiesz? Znaj swoje miejsce albo zmień je, tylko taki masz wybór.

Ogień w kominku wydawał się blady i chłodny w porównaniu z płomieniem, który z nową siłą buchnął między nimi. Amelia była pewna, że Teo zamknie ją w objęciach i pocałuje, ale nie zrobił tego.

Puścił ją, odwrócił się na pięcie i wyszedł, zostawiając ją samą w czterech ścianach dziennego pokoju, smaganych wiatrem i śniegiem. Powiedziała sobie, że wygrała, lecz jej głowa i serce pełne były wątpliwości.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Amelia długo stała nieruchomo, jakby wrosła w podłogę, aż w końcu powoli osunęła się na kanapę.

Czuła wszystko to, co zazwyczaj w obecności Tea – pełne frustracji pożądanie, pragnienie zrobienia na nim wrażenia, w jakikolwiek sposób, tęsknotę za choćby jednym, choćby najbledszym uśmiechem. Jednak tym razem pod tymi wszystkimi uczuciami kryło się jeszcze jedno – wstyd.

Bo odkąd poznała Tea, praktycznie bez przerwy myślała o nim, marzyła i śniła, płakała z jego powodu i przyrzekała sobie, że o nim zapomni, ale nigdy nie traktowała go jak normalnego człowieka. Był jej przybranym bratem, synem księcia, potem księciem, miał tysiąc tytułów i tysiąc imion, które często wymyślała dla zabawy, lecz nigdy nie widziała w nim skomplikowanej, złożonej z wielu warstw ludzkiej istoty.

Nigdy nie pomyślała, że jest taki jak ona.

I teraz świadomość, że jest człowiekiem z krwi i kości, zdolnym do odczuwania tych samych wrażeń i bodźców co ona, sprawiła jej dotkliwy ból. Podniosła się, wciąż z tą nieszczęsną sadzą na twarzy, i powoli podeszła do drzwi sypialni.

Pchnęła je, świadoma, że zostawia na jasnym drewnie odcisk dłoni, który będzie musiała zmyć rano, i zajrzała do środka.

Duże łóżko stało pod oknem, z którego roztaczał się oszałamiający widok na Pireneje. Rano można było obserwować stąd wschód słońca, co

z pewnością było niezwykłym początkiem dnia. Amelia mogła jednak myśleć teraz wyłącznie o Teo. Nie potrafiła oderwać od niego wzroku.

Czuła się tak, jakby patrzyła prosto w słońce.

– Niech zgadnę, czym zasłużyłem na twoją osobistą wizytę – odezwał się. – Czyżbyś padła ofiarą ataku wyrzutów sumienia?

– Oczywiście, że nie – odparła, starając się zapanować nad drżeniem głosu. – Prawda może i jest niewygodna, ale wyrzuty sumienia wywołuje raczej kłamstwo.

– A dziś wieczorem mówimy sobie wyłącznie prawdę? – Uśmiechnął się niebezpiecznie. – Więc może wyjaśnisz mi, dlaczego z taką łatwością przeistoczyłaś się w kopciuszka…

Rozsądna kobieta pewnie odwróciłaby się i odeszła, lecz Amelia nawet nie drgnęła. Przełknęła tylko ślinę, ponieważ gardło miała suche jak wiór.

– Przecież to tylko na krótko – powiedziała. – Można pogodzić się praktycznie ze wszystkim, kiedy ma to potrwać niedługo.

– Nie wydaje mi się, aby tym, co przypadło ci do gustu, była tymczasowość tej sytuacji. – Teo pokręcił głową. – Moim zdaniem jest zupełnie odwrotnie. Wyobraziłaś sobie siebie, bezpieczną w takim miejscu jak to, obecnym tu od stuleci, w takiej czy innej postaci. Jesteś spragniona tego rodzaju powiązań, poczucia trwałości, ciągłości.

– Niczego nie jestem spragniona.

– Nie tylko ja opłakuję tu jakąś stratę – powiedział powoli. – Ty też coś straciłaś, prawda? Całe dzieciństwo.

Zawsze chciała, żeby ją zauważył, jednak teraz wiele by dała, żeby się ukryć. Wiedziała jednak, że w gruncie rzeczy to za jej sprawą oboje znaleźli się w tej sytuacji. I że powinna to odpokutować. Tak, była mu to winna.

A to oznaczało, że nie ona może dyktować warunki tej pokuty.

– Miałam cudowne dzieciństwo – wyrzuciła z siebie. – Moja matka wszędzie mnie ze sobą zabierała.

– Jak pieska albo kotka.

– Jak przyjaciółkę!

– Rodzice wcale nie mają być naszymi przyjaciółmi – rzekł po chwili milczenia. – Nie można być ojcem lub matką swojej przyjaciółki, a dzieci z definicji potrzebują rodziców. Posłuchaj zresztą, jak odmiennie brzmią te słowa: rodzic, dziecko, przyjaciel. Inaczej, co?

Próbowała się roześmiać, ale dźwięk, który wydobył się z jej gardła, sprawił, że ciemne brwi Tea uniosły się lekko.

– Nie każdy wychowuje się w mauzoleum, ucząc się na pamięć historii swojej rodziny – powiedziała. – Niektórzy ludzie wolą bardziej beztroską egzystencję.

Jej dzieciństwo można było opisać wieloma określeniami, lecz słowo „beztroskie” z całą pewnością do nich nie należało. Na dodatek Amelia nie mogła zrozumieć, dlaczego myśli jedno, a mówi coś zupełnie innego, jakby jej język bardziej niż ona sama bał się odsłonić jej wnętrze.

Przez cały ten czas Teo leżał na łóżku, półnagi, podobny do jakiegoś bóstwa. Albo satyra. Wszystko jedno, czym był, gdy na niego patrzyła, kręciło jej się w głowie. Miała ochotę rzucić się na niego i spłonąć na ołtarzu tej twardej męskiej doskonałości.

Nie mogła się poruszyć, bo gdyby zbliżyła się do niego taka jak w tej chwili, bez maski, sukni, szminki i ufarbowanych włosów, zobaczyłby ją taką, jaką była naprawdę.

I dowiedziałby się, jak bardzo go pragnęła. Zawsze.

– Niewykluczone, że z czasem udałoby ci się przekonać mnie, że twoja matka kochała mojego ojca – powiedział. – Możliwe, że zdołam nawet uwierzyć, że wcale nie jest wytrawną łowczynią wielkich fortun, lecz

kobietą, która łatwo się zakochuje, raz po raz, za każdym razem w coraz wyżej postawionych mężczyznach, ale nigdy mi nie wmówisz, że kocha kogokolwiek mocniej niż siebie samą. Nawet ciebie, moja droga.

Amelia słyszała już to wszystko nieraz, w takiej czy innej formie, jednak nikt nie wyłożył jej tego tak cicho i spokojnie, tak dobitnie i z tak wielką pewnością. Musiała spojrzeć w oczy prawdzie, której nigdy nie chciała widzieć. Nagle ogarnęło ja pragnienie, by odchylić głowę do tyłu i wyrzucić z siebie narastający, dławiący szloch. I krzyk.

W tej samej chwili uświadomiła sobie, że Teo nie jest wobec niej okrutny dla przyjemności. Patrzył na nią tak, jakby widział ją całą i wszystko, co się w niej działo, nawet to miejsce, gdzie rodziły się łzy, to miejsce, które od zawsze ukrywała przed ludźmi.

Tutaj, w tym drewnianym domu wśród gór, wreszcie ją dostrzegł. Tak jak tego pragnęła. Tak jak się obawiała.

Przez parę sekund myślała o szesnastoletniej Amelii, która zrobiłaby absolutnie wszystko, żeby zwrócić na siebie jego uwagę. Absolutnie wszystko, naprawdę. Jednak dopiero teraz rozumiała sprawy, których wtedy nie była zdolna pojąć.

Przed laty zasłoniłaby twarz, uciekając przed jego spojrzeniem, bezwzględnym i bezlitosnym, pod żadnym względem niepodobnym do tęsknych, nieśmiałych zerknięć, o jakich wtedy marzyła. A jednak ta chwila i to jego spojrzenie były doskonałe – poważne i szczere.

Nie mogła odwrócić wzroku.

– Z wielką przyjemnością obserwuję, jak przestępujesz z nogi na nogę na progu mojej sypialni, wciąż z tą smugą sadzy na policzku, lecz mimo wszystko nie zasługuje to na miano idealnego finału męczącego wieczoru – oświadczył Teo. – Po co przyszłaś?

Całe życie udawała – że matka kocha ją tak, jak powinna, że każdy dzień to zwariowana, wspaniała przygoda, że ten mężczyzna nic dla niej nie znaczy, bo nie powinien. Starała się o nim zapomnieć, a kiedy to się nie udało, zastosowała drastyczną terapię, uwodząc go podczas maskarady.

I teraz znowu stała przed nim, tym razem jako matka jego syna, spadkobiercy absurdalnie koszmarnej rezydencji i wielu innych. Wiedziała, że Teo nigdy nie pozwoli odebrać sobie syna. Całkiem możliwe, że wiedziała o tym już wtedy, gdy wsiadała do samolotu w San Francisco. A może zawsze.

Mogła sobie do woli udawać, że jest inaczej, że jeśli ona się nie ugnie, on ostatecznie ustąpi, ale przecież czuła, że to nieprawda. Ten książę nie ustępował i nie brał jeńców, nigdy.

Nagle ogarnęło ją tak wielkie zmęczenie, jakby pieszo pokonała drogę od pałacu do górskiego domku. Czuła się tak, jakby Teo zerwał zasłonę, oddzielającą ją od jej niełatwej rzeczywistości i jakby ogarnięcie wzrokiem tej rzeczywistości sprawiło jej fizyczny ból.

Położyła obie dłonie na brzuchu i pomyślała o trwaniu pokoleń, o wierności rodzinnej tradycji i historii. O jednej wizji, która łączy przedstawicieli różnych pokoleń. I o tym, jak odmienne było życie, które prowadziła u boku matki. Jak powierzchowne i pozbawione znaczenia.

Jeśli miałaby wybierać model życia dla swego dziecka, a przecież mogła to zrobić, przynajmniej w pewnym zakresie, na pewno nie wybrałaby swojego.

Musiała tylko ogłosić kapitulację, ryzykując, że Teo odgadnie, co nią kieruje.

– Zapytam jeszcze raz – rzekł lodowatym tonem. – Po co przyszłaś? Czego właściwie chcesz?

– Jestem gotowa – odparła z uczuciem, że dobiegła do krawędzi klifu i skoczyła.

– Naprawdę? – Zmierzył ją badawczym wzrokiem. – Gotowa na co, *carina*?

– Jestem gotowa… – powtórzyła.

Nie mogła wydobyć z siebie nic więcej. Teo chciał mieć żonę. Księżnę. Ale to nie znaczyło, że zależy mu na niej, prawda? Czuł pożądanie, na pewno, lecz ona chciała czegoś więcej.

Chciała wszystkiego.

Dlatego musiała sobie wyobrazić, że jeśli da mu to, czego on pragnie, kiedyś uda jej się przekonać go, aby dał jej to, czego chciała ona. W tym celu musiała pójść drogą, którą przed nią przeszły inne narzeczone książąt Marinceli, świadome, że ich małżeństwo nie musi być związkiem z miłości. Że miłość to niezwykły, bezcenny bonus.

Odchrząknęła i wyprostowała się.

– Jestem gotowa – powiedziała z uśmiechem, bo przecież nawet pyrrusowe zwycięstwo jest lepsze niż przegrana. – Zrobisz dla mnie miejsce w tym łóżku?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Teo powtarzał sobie, że namiętność nie jest tu najważniejsza, że w całej tej historii chodziło o coś zupełnie innego, jednak ciało zdecydowanie wypowiedziało mu posłuszeństwo. Był twardy i gotowy, na krawędzi desperacji, i to od momentu, gdy Amelia znowu pojawiła się w jego życiu.

Stała teraz w drzwiach, jakby się wahała. Czekała na coś. Tak, czekała, żeby on odpowiedział na jej pytanie, chociaż trudno mu było wyobrazić sobie, jak mogła nie dostrzec tej odpowiedzi, wyraźnie widocznej w każdym calu jego ciała.

Ostatnie dziesięć dni było dla niego najprawdziwszą torturą. Udawał obojętność, gdy Amelia krzątała się dookoła jak idealna pani domu, z każdym dniem coraz bardziej zadowolona. Zakładał, że taka kobieta jak ona, córka swojej matki, nie będzie w stanie dwadzieścia cztery godziny na dobę grać roli służącej. Był głęboko przekonany, że nie miną dwa dni, a już będą z powrotem w pałacu, zajęci planowaniem ślubu i przyszłości.

Amelia okazała się jednak zupełnie inna, niż się spodziewał.

Przed chwilą rozmawiał z nią o kompletnym zauroczeniu jego ojca jej matką, czyli o czymś, o czym nigdy z nikim nie rozmawiał, bo od tego tematu zbyt blisko było do własnego żalu po śmierci matki. Do tego, że obsesja ojca na punkcie Marie wydawała mu się kpiną nie tylko z jego żałoby po matce, ale w ogóle z pierwszego małżeństwa starego księcia.

Nie rozumiał, jak mógł tak dalece się pomylić w ocenie Amelii. Naturalnie nie można było do końca wykluczyć, że nie udawała, ale nie

sądził, by tak było. Takiej możliwości przeczył wyraz jej fiołkowych lśniących oczu, rozchylone wargi i zarumienione policzki.

– Oczywiście – odparł wreszcie, siląc się na spokój, podczas gdy z najwyższym trudem powstrzymywał się, by nie rzucić się na nią jak jakiś wyposzczony zboczeniec. – Dołącz tu do mnie.

Nadal się wahała, a w jej oczach malowało się coś dziwnego. Nazwałby to nadzieją, nie miał jednak zupełnej pewności.

– Musimy tylko do końca wyjaśnić sobie, co oznacza krok, który zamierzasz zrobić – ciągnął.

– Wiem, co on oznacza – odparła cicho. – Wiem, możesz mi wierzyć.

Długą chwilę w milczeniu patrzyli sobie w oczy i Teo miał wrażenie, że unosi się wysoko nad ziemią. Amelia miała na sobie przylegające do ud i łydek leginsy, przynajmniej ze dwa miękkie t-shirty oraz sweter, w którym przyleciała z San Francisco. W najmniejszym stopniu nie wyglądała tak, jak powinna wyglądać księżna, od sadzy na twarzy po bose stopy, których palce pomalowane były intensywnie czerwonym, teraz już odpryskującym lakierem.

Teo był przyzwyczajony do wszystkiego co najlepsze i dopiero w ostatnich dniach zrozumiał, jak bardzo to przyzwyczajenie ograniczało dostęp do cudownych, fascynujących aspektów życia. Dziesięć dni temu mógłby przysiąc, że po kobietę taką jak Amelia sięgnąłby jedynie z konieczności i na chwilę. Jego gust był zbyt wyrafinowany, zbyt arystokratyczny, by dostrzec ideał w kimś tak dalekim od doskonałości.

Jednak to było dziesięć dni temu. Teraz każda z jej niedoskonałości sprawiała, że pragnął jej jeszcze mocniej. Uwielbiał jej twarz bez makijażu, niesymetryczny uśmiech, którym komentowała wygłaszane przez niego lekcje historii, i wyraz zdumienia i nadziei, gdy kładła dłonie na brzuchu.

Podeszła do łóżka i powoli uniosła kolano, by oprzeć je na materacu. Powoli, jakby nadal miała poważne wątpliwości, czy dobrze robi. Teo czuł, że lada chwila wybuchnie płomieniami, dokonując samozapłonu.

– Nie będzie odwrotu – ostrzegł ją niskim głosem. – Jeżeli się zdecydujesz, będzie po wszystkim. Weźmiemy ślub, i to jak najszybciej. Prawowite pochodzenie następnego księcia Marinceli nigdy nie może być kwestionowane.

– Naprawdę musisz mi bezustannie grozić, nawet teraz? – zagadnęła z uśmiechem. – Czy takie zachowanie jest typowe dla książąt w ogóle, czy tylko dla ciebie?

– Chcę mieć absolutną pewność, że rozumiesz, co robisz, bo ta decyzja zaważy na twoim i moim dalszym życiu.

– Dlaczego udajesz, że mam jakiś wybór? – rzuciła.

Uklękła na łóżku i popatrzyła na niego roześmianymi fiołkowymi oczami. I wtedy on, od dnia narodzin otoczony cennymi, wspaniałymi rzeczami, uświadomił sobie, że nigdy nie widział istoty tak pięknej jak Amelia.

– Jestem gotowy czekać tak długo, jak długo będzie trzeba – oświadczył resztką sił. – Bo kiedy raz się zdecydujesz, nie będzie już odwrotu.

Lekko przechyliła głowę na bok.

– Czy wasza ekscelencja mógłby się wreszcie zamknąć?

Nie miał nawet czasu oburzyć się na tę impertynencką uwagę, ponieważ Amelia z cichym tąpnięciem upadła na jego pierś. Poczuł słodki ciężar jej piersi i dotyk naprężonych sutków na ich czubkach. Zabrakło mu tchu.

Podniosła głowę i uśmiechnęła się, a kiedy zmarszczył brwi, uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Wtedy dotarło do niego, że czekał na ten uśmiech.

– Dobra księżna nie mówi swojemu księciu, żeby się zamknął, *carina* – pouczył ją chłodnym tonem.

Przyszło mu to z ogromnym trudem, ponieważ trzymał ją w ramionach, miękką i ciepłą.

– Nie uprzedziłeś mnie, że mam być dobrą księżną. – Roześmiała się. – Mówiłeś tylko, że mam być księżną, i tyle. Jeżeli oczekujesz doskonałości, skazujesz się na serię gorzkich rozczarowań.

Teo nie miał już nic więcej do powiedzenia. Nie chciał dłużej czekać. Położył dłoń na jej karku i przyciągnął ją do siebie. Jego wargi były płomieniem pożądania, czystym i nieziemskim. Delikatnie ujął jej jasnowłosą głowę i pogłębił pocałunek, podsycając ogień pragnienia.

Po chwili palce Tea wśliznęły się pod jej sweter i spoczęły na nagiej skórze. Nie przerywając intensywnego pocałunku, zaczął ją metodycznie rozbierać. Kręciło jej się w głowie, lecz czuła się cudownie.

Pociągnął ją ku sobie, w górę, objął pąk jej piersi wargami i zaczął go ssać. Z jego gardła wydobył się stłumiony jęk, niski i wibrujący. Ułożył ją na plecach, pośpiesznie zrzucił z siebie ubranie, rozsunął jej uda i ukląkł między nimi. Patrząc jej prosto w oczy, wszedł w nią jednym zdecydowanym pchnięciem.

Zaczął poruszać się powoli, stopniowo coraz szybciej, razem z nią. Z gardła Amelii wyrywały się ostre, urywane okrzyki. Szczytowała raz, potem drugi, płonąc wysokim płomieniem do chwili, gdy on także osiągnął rozkosz.

Zapadła w mocny, głęboki sen w jego ramionach, a kiedy się obudziła, była jeszcze noc. Teo leżał obok niej. W pokoju było zimno, lecz jego ciało emanowało cudownym ciepłem. Gdy w końcu uniósł powieki, przywitał ją uśmiechem.

– Wyjedziemy o świcie – powiedział.

I wyjechali, chociaż Amelia wcale nie była pewna, czy tego chce. Teo przywiózł ją do historycznej siedziby książąt Marinceli i przystąpił do załatwiania formalności, dzięki którym miał uczynić ją swoją księżną.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

– Bajki są dla małych dziewczynek, nie dorosłych kobiet – powiedziała Marie w ten tak typowy dla siebie sposób, trochę rozbawionym, a trochę oskarżycielskim tonem.

Amelia pomyślała, że jeżeli uda jej się nie udusić matki przed swoim ślubem, będzie to zakrawało na prawdziwy cud. Dwa tygodnie wcześniej Teo przywiózł ją do rezydencji i wprawił machinę przygotowań w ruch, dokładnie tak, jak obiecał.

– Pobierzemy się w pałacu – oświadczył, gdy wsiedli do samolotu na opuszczonym lądowisku. – Jest tam średniowieczna kaplica, wybudowana za panowania trzeciego księcia, idealne miejsce.

Na pokładzie odrzutowca przebrał się w elegancki garnitur, lecz Amelii brakowało Tea w dżinsach i grubym wełnianym swetrze. Po powrocie zamówiła przesyłkę swoich rzeczy z San Francisco i odkryła, że zimna, monstrualna rezydencja książąt Marinceli powoli zmienia w jej oczach oblicze, przeistaczając się w coś w rodzaju prawdziwego domu. Powodem tej transformacji było pewnie to, że teraz dzieliła apartament z Teem.

A on, chociaż na zewnątrz ani na chwilę nie przestał być wyniosłym, chłodnym księciem, w ich wspólnej sypialni należał wyłącznie do niej. Nie było tu chyba miejsca, gdzie nie próbowaliby się kochać, nie było też żadnej okazji, której nie wykorzystaliby w celu doznania jak największej rozkoszy.

Amelia, w tych pierwszych dniach po powrocie wciąż oszołomiona, była gotowa zgodzić się na wszystko, o co Teo prosił. Codziennie od nowa zalewała ją fala radości i pożądania, i wydawało jej się, że tak będzie zawsze.

Jednak rzeczywistość potrafiła wedrzeć się nawet do pogrążonego w ciszy wieków pałacu. Teo podarował jej mnóstwo ubrań, na które normalnie raczej by nawet nie spojrzała, zwłaszcza że nazywał je „odpowiednimi”, ale tak często prawił jej komplementy, kiedy je wkładała, że teraz sięgała po nie prawie bez wahania. Ubrana w zwodniczo proste stroje o wyrafinowanej elegancji, zaczęła się interesować nowymi fryzurami i nosić biżuterię.

Stopniowo, niezauważalnie, stawała się księżną.

Teo natychmiast zlecił swoim ludziom wszczęcie niezbędnych procedur i załatwienie dokumentów, wyznaczył też datę ślubu.

– To będzie prosta ceremonia – poinformował narzeczoną. – Tylko my dwoje i ksiądz.

– Chyba żartujesz – odparła, wygodnie rozpostarta na łóżku. – Nie wyjdę za mąż bez mojej matki.

– Po co ci Marie?

– Jest skomplikowana, to oczywiste – przyznała. – Ale to moja matka, prawda? Możliwe, że samą siebie kocha bardziej niż mnie, lecz to nie oznacza, że nie kocha mnie tak głęboko i mocno, jak tylko potrafi.

– Twoja matka była już obecna na ślubie księcia Marinceli – zauważył po chwili z rezygnacją. – To chyba dosyć.

Być może żywiołowo zareagowałaby na tę obraźliwą uwagę, gdyby nie to, że przed paroma chwilami zachrypła od długiego krzyku rozkoszy, który Teo wydobył z niej pieszczotami.

– Przyrzekłam, że za ciebie wyjdę, ale nie obiecywałam, że zrobię to w tajemnicy – przypomniała mu. – Mamie pękłoby serce z żalu.

Gdy nie zaprotestował, pomyślała, że wszystko to, co dzieje się między nimi dwojgiem, ma na niego większy wpływ, niż to okazywał. Może nawet był głęboko poruszony, bo w odpowiedzi tylko westchnął, co naturalnie uznała za zgodę.

I wtedy musiała powiedzieć matce, nie tylko o tym, że jest w ciąży, ale że ojcem dziecka jest Teo de Luz. I że planuje poślubić go i zostać nową księżną Marinceli. Niedługo.

Wstępna rozmowa nie wypadła zbyt dobrze.

Tak czy inaczej, teraz do ślubu zostały już tylko dwa dni. Marie zjawiła się poprzedniego wieczoru, ociekając ugodowymi uśmiechami, gotowa cieszyć się i świętować razem ze swoją jedyną córką i byłym pasierbem, który podczas wystawnej kolacji wyglądał tak, jakby właśnie przechodził skomplikowany dentystyczny zabieg.

– Mogłam cię nie zaprosić – znacząco poinformowała matkę Amelia. – I gdybym wiedziała, że będziesz wygłaszać nieprzyjemne komentarze na temat bajek, pewnie wybrałabym taką opcję.

Siedziała na szezlongu w gościnnym apartamencie, gdzie zainstalowano Marie, oddalonym dosłownie o parę kilometrów od sypialni jej i Tea.

– Zaprosiłabyś mnie niezależnie od wszystkiego – roześmiała się Marie. – Jestem twoją matką. Przeżyłyśmy razem mnóstwo dobrych i trochę gorszych chwil.

– Właśnie przypomniałaś mi, dlaczego wolę przeżywać je z tobą na odległość.

Marie była pochłonięta wyborem sukni, odwróciła się jednak, żeby spojrzeć córce prosto w oczy, nie za pośrednictwem wielkiego lustra. Amelia doskonale wiedziała, że powodem tej reakcji wcale nie były jej

ostatnie słowa, ponieważ tego typu uwagi spływały po jej matce jak woda po gęsi.

– Jesteś pewna, że wiesz, co robisz? – zagadnęła Marie.

– Za dwa dni wychodzę za mąż – lekkim tonem odparła Amelia. – To raczej prosta sprawa: ołtarz, biała suknia, mąż…

Matka uśmiechnęła się smutno.

– I potem zostaniesz księżną.

– Przede mną były ich legiony i większość z nich dożyła sędziwego wieku. – Amelia wzruszyła ramionami. – To wciąż proste jak drut.

– Jeśli chodzi o rodzinę de Luz, to nie ma w nich nic prostego. – Marie przewróciła oczami i rozejrzała się po ogromnym pokoju, wypełnionym bezcennymi przedmiotami. – Nie da się tak po prostu wyjść za księcia. Razem z nim poślubiasz księstwo i wszystko, co się z nim łączy.

Amelii nie przypadł do gustu wyraz oczu matki.

– Wydawało mi się, że uwielbiasz bogactwo, pozycję społeczną, kontakty i tak dalej.

– Jasne. – Marie wciąż patrzyła na córkę z wyraźnym smutkiem. – Tyle że ty w najmniejszym stopniu nie dbasz o te rzeczy. I skoro dla mnie nazwisko Marinceli okazało się zbyt ciężkim brzemieniem, to zastanawiam się, co będzie z tobą.

Amelii zaschło w gardle, co wskazywało na atak paniki.

– To bez znaczenia. Jestem z nim w ciąży.

Marie westchnęła.

– Tak, tak, nie wątpię, że nagadał ci różnych rzeczy o drzewie genealogicznym de Luz, którego korzenie sięgają głębiej w przeszłość niż historia samej Hiszpanii, ale co z tego… Sama też zdołasz wychować dziecko, skarbie. Nie musisz czekać na niczyją zgodę.

– Nie wiem, czy byłabym w stanie pozbawić dziecko ojca, szczególnie gdy jest on pod ręką.

– Ty nie cierpiałaś z powodu braku ojca – oznajmiła Marie lekceważąco. – Mam nawet wrażenie, że bez niego byłaś szczęśliwsza.

– Cudna historyjka – prychnęła Amelia, może nieco bardziej twardo, niż zamierzała.

Pewnie w ten sposób dała ujście rozmaitym pretensjom, o których zapomniały dawno temu, a przynajmniej tak udawały. Na przykład o to, że Marie nie ułatwiła Amelii kontaktu z ojcem i nie zadbała nawet o zgromadzenie pamiątek po człowieku, którego Amelia prawie nie pamiętała, ponieważ umarł, zanim skończyła pięć lat.

Między innymi z tego powodu zdecydowała się powiadomić Tea o dziecku. Bardzo jej zależało, by ta część jej własnej historii powtórzyła się w życiu jej maleństwa. Nie przez nią, nigdy.

– Ale to twoja historyjka – ciągnęła. – Nie moja. Ja nie miałam ojca, ale to nie znaczy, że nie było wokół mnie mężczyzn, którzy próbowali wziąć na siebie tę rolę, większość z nich raczej okropnych.

– Większość mężczyzn jest właśnie takich i na tym polega tragedia, bo jednak ich kochamy. I właśnie to staram ci się powiedzieć.

Jeżeli Amelia sądziła, że zawstydzi matkę, to poważnie się pomyliła, bo Marie uśmiechnęła się pogodnie.

– Zawsze miałaś słabość do Tea – dodała.

– Co takiego? Nigdy nie miałam…

– Sądziłam, że uratuje cię jego nienawiść do mnie i wszystkiego, co ma ze mną jakikolwiek związek – ciągnęła Marie, zupełnie jakby nie słyszała protestu córki. – A tu proszę bardzo… Z drugiej strony, popatrz tylko na siebie.

Amelia nie chciała patrzeć na swoje odbicie, ponieważ bała się, że ujrzy, jak zmienia się w Marie.

– Wiem, jak wyglądam – rzuciła.

– W porządku, musisz sobie jednak uświadomić, że poślubienie księcia Marinceli może i wydaje się przyjemnym projektem, ale w rzeczywistości oznacza zamknięcie się w klatce. Ja nie umiałam w niej tkwić. Czy jesteś pewna, że ty w niej wytrzymasz?

Amelia pośpiesznie zmieniła temat bez protestu ze strony Marie, lecz słowa matki zostały w jej pamięci.

Tego samego popołudnia, kiedy zimowe słońce chyliło się już ku zachodowi, poszła do gabinetu, w którym Teo przyjął ją tamtego pierwszego dnia. Pchnęła drzwi i chwilę stała w milczeniu, przyglądając się zajętemu pracą narzeczonemu.

Teraz znała go znacznie lepiej niż dawniej, kiedy, jak mówiła jej matka, „miała do niego słabość” – znała dotyk jego krótko ostrzyżonych czarnych włosów, wiedziała, że o tej porze dnia jego policzki i brodę pokrywa ostry zarost, erotycznie drażniący jej skórę, i w jakiej pozycji najłatwiej zasypia. Wiedziała, jak wygląda jego spokojna, rozluźniona twarz, znała smak jego skóry we wszystkich zakamarkach ciała i dotyk jego pięknych, arystokratycznych dłoni.

I patrząc teraz na niego, siedzącego za blatem biurka zasypanym papierami, które jego asystent wcześniej zostawił mu do przejrzenia i podpisania, uświadomiła sobie nagle, że nigdy w życiu nie widziała tak samotnego człowieka.

Zrozumiała, że tak po prostu jest, niezależnie od tego, jak dobrze oboje poznają się w łóżku, jak często rozmawiają do późnej nocy, z jego ciemną głową opartą na jej ramieniu. Pod osłoną ciemności Teo powierzał jej najgłębiej skrywane tajemnice. Mówił jej, jak wyglądało jego dzieciństwo

i dorastanie, obciążone świadomością, że kiedyś odziedziczy to wszystko. Amelia nie pamiętała swojego ojca, więc opowiadał jej o swojej matce. Ona często doprowadzała go do śmiechu, a on ją do wzruszenia.

Te wspólne noce dawały jej nadzieję. Rano Teo budził ją, obejmował dłońmi jej brzuch i cichym głosem przemawiał do ich dziecka.

Wydawało jej się, że mają szansę. Naprawdę tak myślała, lecz teraz słowa matki wciąż rozbrzmiewały w jej głowie jak złowrogie echo. Jak przepowiednia, jak klątwa.

– Chcę czegoś więcej niż małżeństwo z rozsądku – wyrzuciła z siebie.

Kiedy podniósł na nią ciemne oczy, zdała sobie sprawę, że cały czas wiedział o jej obecności.

– Więc co proponujesz w zamian? – zapytał surowo.

Sprawiał wrażenie oburzonego, podobnie jak tego pierwszego dnia, kiedy powiedziała mu o ciąży.

– Chcę mieć wszystko – wyznała.

Powoli uniósł brwi.

– Jeżeli można mieć coś więcej niż życie w roli księżnej Marinceli, to muszę przyznać, że nie wiem, co miałoby to być. – Wyprostował ramiona i zmierzył ją pełnym niemiłego zdziwienia spojrzeniem. – Czy jest coś, na czym ci zależy, a czego, jak sądzisz, nie możesz mieć? Trudno mi w to uwierzyć, moja droga. Rozejrzyj się dookoła. Jestem prawie pewien, że mam wszystko, a to znaczy, że ty również.

Dopiero teraz Amelia zrozumiała, co matka starała się jej wyjaśnić. Łatwo jest pójść z kimś do łóżka, pozwolić, by seks przesłonił myśli, a nawet odebrał zdolność myślenia, uznać fizyczną rozkosz za miłość. Stracić z oczu rzecz najbardziej na świecie oczywistą – że seks to tylko wyraz miłości, jej część, ale nigdy nie całość.

Położyła obie dłonie na brzuchu, czerpiąc siłę od dziecka, które nosiła. Ich dziecka, dwudziestego księcia Marinceli, dziedzica tego magicznego, przytłaczającego miejsca. Jej obowiązkiem było sprawić, aby syn jej i Tea był żywym, wrażliwym człowiekiem, zdolnym kochać i żyć. Nie chciała dla niego ani takiego życia, jakie dała jej samej Marie, ani takiego, jakie miał Teo. Musiało istnieć coś jeszcze, jakaś inna możliwość. Na pewno.

Amelia znała tylko jeden sposób, by osiągnąć ten złoty środek.

– Masz wszystko, co można kupić – odezwała się cicho. – Masz pieniądze, stare i nowe, masz wszystko, wiem o tym.

Brew Tea powędrowała jeszcze wyżej.

– Wszystko to będzie należeć także do ciebie, *carina*.

– Ale ja chcę czegoś więcej – powiedziała. – Chcę miłości.

Być może spodziewała się, że mury runą w jednej chwili, albo że Teo nagle zacznie świecić jakimś wewnętrznym blaskiem, że stanie się coś cudownego i dramatycznego jednocześnie, bo przecież mężczyzna, którego pokochała, nigdy nie doznał prawdziwej miłości, była tego pewna.

– Miłości – powtórzył, patrząc na nią takim wzrokiem, jakby zaproponowała, by nagi jak go Pan Bóg stworzył przeleciał nad całą Hiszpanią, nisko nad ziemią. – Mam wrażenie, że związane ze ślubem nerwy źle na ciebie wpływają. Co miłość ma z tym wszystkim wspólnego?

– Miłość ma coś wspólnego ze wszystkim – oświadczyła.

I gdyby nie było to tak śmiertelnie ważne, może poczułaby się zażenowana wielką powagą, jaką sama słyszała w swoim głosie.

– Moja matka nie dała mi poczucia bezpieczeństwa, które ty uważasz za rzecz najzupełniej oczywistą, ale kochała mnie – ciągnęła. – Można dyskutować, jak bardzo mnie kochała, jasne, można mówić, że samą siebie kocha mocniej, to dla mnie nie nowina. Nie chcę o tym wiedzieć, ale wiem, że tak jest. Można się też oburzać, że ogromną część życia poświęciłam na

zabiegi, by kochała mnie bardziej, lecz w ostatecznym rozrachunku wiem też, że ona mnie kocha, jak umie, pewnie kulawo, ale kocha. Czy w ogóle w życiu liczy się coś więcej niż miłość?

– To rozmowa w wysoce kalifornijskim stylu – kwaśno odparł Teo. – Muszę w niej uczestniczyć?

Jego zachowanie powinno odebrać jej wszelką odwagę, podeszła jednak do masywnego biurka i oparła obie dłonie na szerokim blacie, głównie po to, by nie wyciągnąć ich ku niemu.

– Możesz kpić ze mnie, ile dusza zapragnie, ale będziemy mieli dziecko i to życie jest już wystarczająco trudne, nawet dla przedstawicieli rodziny de Luz, a bez miłości stałoby się po prostu nie do zniesienia.

– Ojciec wychował mnie tak, żebym mógł bez trudu zająć jego pozycję – wycedził Teo przez zaciśnięte zęby. – Mężczyzna nie jest mężczyzną, jeśli nie nauczy syna iść w swoje ślady, spisać się lepiej i osiągnąć więcej niż on sam.

– Więc będziesz musiał lepiej się spisać – rzuciła ostro. – Co by się stało, gdybyś nauczył swojego syna nie tylko sprawować książęcy urząd, ale także kochać, szczerze i otwarcie, nie ukrywając się za pusto brzmiącymi słowami o obowiązkach i rodzinnej tradycji? Co by się stało?

– Naprawdę nie widzę sensu tej rozmowy. Zawarliśmy umowę, za dwa dni bierzemy ślub. Próbujesz mi grozić?

Amelia wzięła głęboki oddech i wyprostowała się, nadal patrząc mu prosto w oczy. Teo wyglądał jak jakiś pogański bożek, dumny, wyniosły i nietykalny, pierwszy raz przyszło jej jednak do głowy, że malująca się na jego twarzy arogancja to tylko maska, taka sama jak ta, którą sama włożyła, by się przed nim ukryć.

Oficjalny wizerunek księcia był tylko kostiumem.

Prawda o tym człowieku była zupełnie inna. Prawdę mówił ciężar jego dłoni na jej karku i pragnienie w jego oczach, kiedy się w niej poruszał. To, co teraz widziała, było jedynie czymś w rodzaju aktorskiej roli, nie miała co do tego cienia wątpliwości.

– Byłam dziewicą – wyznała, nagle pełna wielkiego spokoju.

Teo roześmiał się.

– Chodzi ci o to, że kiedyś byłaś dziewicą? Cóż, kiedyś wszyscy byliśmy czyści.

– W noc maskarady – sprecyzowała.

I przygryzła wargę, patrząc na jego reakcję.

– Na tym polegał mój problem – podjęła. – Z innymi mężczyznami nie potrafiłam posunąć się dalej niż pocałunek, bo nie potrafiłam zapomnieć o tobie. Zawsze tkwiłeś w mojej głowie, zupełnie jakbym utknęła tutaj jako nastolatka, jakbym zatrzymała się w czasie. Ty byłeś tym jedynym.

– To jakiś absurd.

– Też tak myślałam – przyznała. – Dlatego we wrześniu zadałam sobie tyle trudu. Nie chciałam, żebyś mnie poznał, zależało mi tylko, żeby to zrobić, żeby pozbyć się łańcucha, którym byłam spętana.

– Jak to możliwe? – Jego głos załamał się jak pod wpływem bólu. – Jak to możliwe, że byłaś dziewicą?

– Taki stan jest możliwy, kiedy nie uprawia się seksu – powiedziała z lekkim uśmiechem.

– Nie o to mi chodzi! Jak to możliwe, że ty…

Zerwał się z krzesła i jego dłonie zacisnęły się w pięści.

Natychmiast pojęła, co miał na myśli. Poczuła się tak, jakby wymierzył jej mocny cios w splot słoneczny, całkiem możliwe nawet, że głośno wciągnęła powietrze.

– Uważasz, że moja matka to dziwka. – Potrząsnęła głową, ale to nie pomogło. – I że to zaraźliwe, tak?

– Nie mam pojęcia, w co ze mną grasz – rzekł niskim, twardym głosem, którego nigdy wcześniej nie słyszała. – Nie wiem, co chcesz zyskać. Czy to nie dosyć, że zamierzam uczynić cię moją żoną? Moją księżną? Że dzięki tamtej nocy masz wszystko, o czym człowiek może zamarzyć? Nie rozumiem, dlaczego wszystko tak utrudniasz i wykrzywiasz!

– Niczego nie utrudniam ani nie wykrzywiam – zdołała wykrztusić, chociaż wydawało jej się, że wargi ma pokryte grubą warstwą lodu. – Taka jest prawda, i tyle.

– Dosyć! To nikomu nie służy.

– Dlaczego fakt, że tamtej nocy byłam nietknięta, tak bardzo cię porusza? – zapytała z niezmiernym smutkiem.

Teo patrzył na nią w milczeniu i wyraz jego twarzy sprawiał, że chciało jej się płakać.

– Łatwiej jest ci żyć w przekonaniu, że wszystko to moja wina, prawda? – ciągnęła cicho. – To ja mam być czarnym charakterem w tej historii, we mnie chcesz widzieć osobę, która cię wykorzystała. Bo dobrze wiesz, jak grać rolę ofiary, prawda?

– Jak śmiesz twierdzić, że to ja gram rolę ofiary!

Amelia zignorowała jego wybuch, może nawet go nie usłyszała.

– Wiem, że uwielbiasz grać. Twój ojciec za mocno pokochał moją matkę i w rezultacie musiałeś tolerować jej obecność w swoim życiu. I musiałeś ją znienawidzić, jakżeby inaczej… Teraz w twoje życie wtargnęłam ja, córka mojej matki, więc najprościej jest założyć, że jestem taką samą dziwką jak ona, prawda?

– Przestań tak o sobie mówić – wycedził. – Nigdy nie użyłem tego słowa.

– Ale masz je wypisane na twarzy!

– Posłuchaj… – zaczął.

Nie pozwoliła mu dokończyć. Nie mogła ustąpić teraz, kiedy oboje byli już tak blisko całkowitej szczerości. Nie znała innej drogi.

– Wiesz, dlaczego to zrobiłam? – odezwała się, nie dbając o to, czy Teo jest w stanie odczytać malujące się na jej twarzy emocje. – Dlaczego podarowałam moje dziewictwo mężczyźnie, który nie wziąłby go, gdybym otwarcie mu to zaproponowała? Mężczyźnie, przed którym musiałam je ukryć, przed którym sama musiałam się ukryć?

– Zimno mi się robi na samą myśl o tym objawieniu – zakpił słabo.

Ze smutkiem pokręciła głową. Przez chwilę zastanawiała się, czy znajdzie w sobie odwagę, by doprowadzić swój plan do końca, lecz pod dłonią czuła wzgórek, który osłaniał ich dziecko. Czy książę Marinceli może mieć niezmierzone bogactwo, wpływy i miłość, przede wszystkim miłość? Czy w ogóle ktokolwiek może mieć to wszystko?

Jeżeli tak, to tym kimś będziesz właśnie ty, obiecała w myśli swojemu synowi.

Aby dotrzymać słowa, musiała od czegoś zacząć. Od prawdy. I od siebie. I od Tea.

– Myślę, że wiesz. – Roześmiała się, cicho i niewesoło, ale bez lęku, który odsunęła od siebie raz na zawsze.

Przesunęła spoczywającą na brzuchu dłoń i spojrzała Teowi prosto w oczy.

– Kocham cię – powiedziała.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Teo zamarł. Czuł się tak, jakby wokół niego wybuchały rzucane przez Amelię granaty – im więcej ich było, tym mniejsze były szanse na to, by kiedykolwiek odzyskał równowagę.

– Nie kochasz mnie – odezwał się, z trudem rozpoznając własny głos. – Miłość nie ma nic wspólnego z naszą umową.

– Więc jak chcesz być ojcem? Jak to sobie wyobrażasz?

Wziął głęboki oddech.

– Mój ojciec…

– Twój ojciec kochał jedną osobę, sam mi to powiedziałeś – przerwała mu. – Czy tego właśnie chcesz dla naszego dziecka?

Nie mógł oderwać oczu od jej dłoni, którą cały czas trzymała na brzuchu. Miał wrażenie, że ściany gabinetu obracają się w popiół, a jednocześnie miał świadomość, że to tylko złudzenie.

– Książęta Marinceli… – zaczął znowu.

– Przywiązuję duże znaczenie do tradycji księstwa Marinceli – przerwała mu, równie bezwzględnie jak przed chwilą. – Ze względu na ciebie, ponieważ wiem, jakie to dla ciebie ważne. Jednak dużo ważniejszy jest dla mnie człowiek. Ty.

– Nie prosiłem o to wszystko. – Teo słyszał wychodzące z jego ust słowa i nie miał nawet dość siły, by je powstrzymać czy w jakikolwiek sposób złagodzić. – Nie prosiłem, żebyś się przebierała i udawała inną

kobietę, nie chciałem twojego dziewictwa ani tego dziecka, jestem jednak gotowy zrobić to, co do mnie należy. Ale to nie znaczy…

– Nie wierzę ci.

Coś w jego wnętrzu zająknęło się, zachłysnęło i załkało. Przez głowę przemknęła mu myśl, że to może jego serce. Nie mógł się doczekać, kiedy padnie na podłogę, porażony nieznośnym bólem w klatce piersiowej. Niech by było i tak, byle tylko zakończyć już tę rozmowę.

Amelia patrzyła na niego bez słowa, ze smutkiem, lecz bez żadnych wahań. Teo nie rozumiał, jak to możliwe, że z jednej strony ma ochotę zrobić coś kompletnie nietypowego dla siebie, czyli rzucić się do ucieczki, a z drugiej pragnął podziękować losowi, że ta twarda, nieustępliwa istota ma być matką jego syna. Następnego księcia.

Jego własna matka była słodka, delikatna i elegancka. Kiedy umarła, bardzo za nią tęsknił i nadal mu jej brakowało. Czasami myślał, że nigdy nie będzie gotowy wybaczyć swojemu ojcu, że o niej zapomniał, tak szybko i tak bezwstydnie. Tak czy inaczej, nigdy nie widział w matce lwicy, zdolnej do wszystkiego w obronie dziecka. Nie miała w sobie tej płomiennej odwagi i to raczej ona była tą, którą trzeba było osłaniać.

Więc bardzo się starał. Znienawidził Marie i cieszył się, gdy zniknęła z życia jego ojca.

– Nie wierzysz mi? – Roześmiał się. – Jak to? To nie ja mam zwyczaj kłamać albo omijać prawdę…

– W to też już raczej nie wierzę. – Lekko wzruszyła ramionami. – Bo czy rzeczywiście mnie wtedy nie poznałeś? Naprawdę jesteś tak mało spostrzegawczy? Inny kolor włosów i maska i nagle osoba, którą doskonale znałeś, wydaje ci się kimś obcym? Jakoś trudno dać temu wiarę.

Teo długo milczał.

– Nie wiem, co masz na myśli – rzekł wreszcie.

– A potem zjawiam się, zupełnie niespodziewanie, i ty wpuszczasz mnie do domu. – Amelia przechyliła głowę i zmierzyła go chłodnym spojrzeniem. – Córkę kobiety, której podobno bezwzględnie nienawidzisz? Dziewczynę, o której istnieniu podobno kompletnie zapomniałeś?

Zanim zdążył się zorientować, co się dzieje, Teo okrążył biurko i ruszył do drzwi. Nie chciał, by jej słowa zakorzeniły się w nim na dobre.

– Ta spiskowa teoria jest fascynująca, nie przeczę – rzucił przez ramię. – Daje do myślenia, lecz jedynie na temat tego, co dzieje się w twojej głowie i czy przypadkiem nie będę musiał ograniczyć twojego wpływu na dziecko, które nosisz.

– Czcze pogróżki – zamruczała cicho. – Twierdzisz, że mnie nie chcesz, że pod każdym względem stoję niżej od ciebie, ale wydaje mi się, że to czyste bzdury. Przecież to ty wywiozłeś mnie w góry po to, żeby mnie zwabić do łóżka i skłonić do wyjścia za ciebie.

Przystanął, chociaż nawet tego nie zauważył. Dałby głowę, że stopniowo obraca się w proch, że już go prawie nie ma.

– Nie wierzę ci – powtórzyła Amelia.

Nagle obudziła się w nim niemożliwa do okiełznania wściekłość. Odwrócił się na pięcie i, zamiast do drzwi, szybkim krokiem podszedł do niej. Ale miał do czynienia z Amelią, która ani się nie cofnęła, ani nawet nie zmrużyła powiek. Oparła dłonie na biodrach, uniosła głowę i popatrzyła na niego spokojnie.

Tea ogarnęła fala paniki. Powinien potraktować jej słowa jak śmiertelną obrazę, tymczasem pragnął tylko jednego – ogrzać się w bijącym od niej cieple.

Znowu.

Zacisnął dłonie na jej barkach.

– Nie wiem, o co ci chodzi – wycedził, starając się ukryć, że bez jej dotyku w ogóle go nie ma. – Tak czy inaczej, jest już za późno. Wszystko jedno, co powiesz, bo i tak nic nie odwróci biegu wydarzeń. Wyjdziesz za mnie.

– Oczywiście – odpaliła twardo. – Posłuchaj mnie teraz uważnie, bo chyba czegoś tu nie rozumiesz. Nie jestem moją matką. Nigdy nie kochałam żadnego innego mężczyzny poza tobą i będę kochać cię do śmierci.

– Przykro mi, ale nie pomogę ci w tym niewdzięcznym przedsięwzięciu.

– Odwzajemnisz moje uczucie, wierz mi. Nie pogodzę się z porażką.

– Przyjmiesz to, co dostaniesz – powiedział ze złością. – Czyli naprawdę bardzo dużo, szczególnie w twoim przypadku.

– Mów sobie, co chcesz. – Uśmiechnęła się lekko. – Chyba i tak już mnie kochasz…

Puścił ją w jednej chwili, jak oparzony.

– Nie kocham cię – oznajmił. – Nie jestem zdolny do miłości, nie rozumiesz? I wcale tego nie żałuję. Jestem, kim jestem, i tyle.

Patrzył jej prosto w oczy i nie potrafił się oprzeć wrażeniu, że ona widzi absolutnie wszystko, jakby był przeźroczysty.

– Jestem księciem Marinceli – ciągnął. – A ty masz zostać księżną, moja droga. Radziłbym, żebyś dokładnie to sobie przemyślała, zwłaszcza swój stosunek do tego, co masz otrzymać. I żebyś wzbudziła w sobie wdzięczność. Ale jeśli nie zdołasz tego zrobić, to nie przejmuj się. Ta posiadłość nie bez powodu jest tak ogromna.

Uśmiechnął się lodowato, widząc, że jego narzeczona nie rozumie, o czym mówi.

– Na jej terenie rozsianych jest kilka innych rezydencji, w których może zamieszkać rozgoryczona swoim losem księżna. Wiedziałabyś o tym, gdybyś z większą uwagą czytała historyczne książki, po które sięgałaś tu jako nastolatka.

Otworzył drzwi i szybko wyszedł, nie chcąc ulec emocjom, które rozszarpywały go na drobne strzępy, mimo że nie do końca wierzył w ich istnienie.

Tej nocy, pierwszy raz od powrotu z gór, Teo nie spał razem z Amelią. Wolał w ogóle jej nie dotykać i nawet na nią nie patrzeć, dlatego nie przyszedł na kolację, którą jadła razem z matką, i zajął się biznesowymi sprawami, bynajmniej nie wyjątkowo pilnymi.

Zimowy świt zastał go w głównej galerii, zapatrzonego w portrety mężczyzn, którzy przed nim sprawowali urząd księcia Marinceli. Niektórzy z nich toczyli wojny, aby ten dom i ta ziemia pozostały własnością rodziny, nawet z monarchami, inni zmagali się ze swoimi własnymi inklinacjami i niskimi instynktami.

Szczególnie długo stał przed portretem swojego ojca.

Jeszcze wczoraj powiedziałby, że znał go przynajmniej tak samo dobrze jak ten pałac, ze wszystkimi jego zaletami i wadami, teraz musiał jednak przyznać, że niewiele o nim wiedział.

A jeszcze mniej wiedział o samym sobie.

Wyprostował się i podniósł głowę, słysząc ciche kroki za plecami. Był pewny, że to Amelia, lecz była to jej matka. Niestety.

– Zmiana czasu – powiedziała ze swobodnym uśmiechem. – Nie śpię od trzeciej w nocy.

– Wyrazy współczucia – mruknął Teo, siląc się na obojętność.

– Tylko w twoich ustach może to zabrzmieć jak obelga. – Roześmiała się. – Ale nic nie szkodzi, nie będę się tym przejmować.

Teo nie zamierzał spędzać czasu w towarzystwie tej kobiety. Sztywno skinął głową, odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia.

– Wiem, że uważasz, że złamałam mu serce – odezwała się Marie. – Było jednak odwrotnie.

Znieruchomiał. Przez chwilę starał się uporządkować myśli i w końcu doszedł do wniosku, że ma już serdecznie dosyć odwracania pojęć.

– Tak byś to nazwała? – zagadnął, mierząc ją wrogim spojrzeniem. – Znam inne określenia tego, czym się zajmujesz.

Jeżeli jego ton ją dotknął, nie dała po sobie nic poznać.

– Twój ojciec był fascynującym mężczyzną. Wykazywał ogromną inwencję w wielu dziedzinach, a szczególnie jednej, nie sądzę jednak, abyś chciał o tym słuchać.

Minęło parę sekund, zanim Teo zrozumiał, o czym mówiła.

– Z całą pewnością sobie tego nie życzę – rzucił z oburzeniem.

– Ale nie kochał mnie – powiedziała Maria.

W jej twarzy dostrzegł nagle Amelię, tyle że starszą i naznaczoną wielkim smutkiem.

– Nie kochał też mojej matki – rzekł. – Jeżeli masz na myśli księstwo, to taki miał obowiązek.

Uśmiechnęła się, lecz smutek nie zniknął.

– Zależało mu na twojej matce na tyle, na ile było to możliwe, a swoje obowiązki wobec księstwa traktował bardzo poważnie. – Pokiwała głową. – Jednak najważniejsze było dla niego to, że do czasu naszego małżeństwa zawsze stawiał na swoim. Tym, co widziałeś po moim odejściu, było nie złamane serce, lecz atak złości.

Teo wziął głęboki oddech.

– Zniszczyłaś go – warknął. – Zatracił się w rozpaczy, w serii romansów z okropnymi kobietami, w alkoholu i…

Marie wyciągnęła rękę i dotknęła ozdobnej ramy, w której znajdował się portret Luisa Calvy.

– Dajże spokój – powiedziała cicho. – Czy przypominasz sobie, by twój ojciec kiedykolwiek ustąpił? Albo przegrał?

Parsknęła śmiechem, widząc wyraz jego twarzy.

– W jego przypadku wszystko było jasne: albo jego na wierzchu, albo znikaj – ciągnęła. – Ja wolałam zniknąć. I mam dla ciebie trzeźwą radę, chociaż z niewyspania kręci mi się w głowie. Musisz wybrać, mój drogi. Widzisz, ten świat od zawsze odrzuca bardzo niepopularną prawdę, która mówi, że albo stawiasz na swoim, albo jesteś szczęśliwy.

Serce o mało nie wyskoczyło mu z piersi, lecz jakimś cudem jeszcze nie osunął się na podłogę.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Wierzę w ciebie i nie mam wątpliwości, że się domyślisz. I jeszcze jedno: jeżeli złamiesz serce mojej córeczce, to zrobię ci to, co wmawiasz sobie, że zrobiłam twojemu ojcu.

Słynne spojrzenie Marie w ułamku sekundy stało się równie twarde jak spojrzenie jej córki, tyle że dużo zimniejsze.

– Zniszczę cię, jasne? Upokorzę cię publicznie, a wierz mi, że to gra, w której nie mam sobie równych.

Odwróciła się i odeszła, zostawiając go samego. Stał tak, ze wzrokiem wbitym w portret człowieka, którego najwyraźniej w ogóle nie znał. A skoro nie znał własnego ojca, to… To kim właściwie był?

Nie był w stanie się poruszyć. Wydawało mu się, że zamienił się w kamień i zostanie w galerii na wieki, jako jeszcze jeden eksponat.

Skoro nie wiedział, kim jest, to skąd mógł wiedzieć, kim byli jego przodkowie? Uważnie czytał ich życiorysy, notował wskazówki i rady, jak być dobrym księciem, to prawda, pozostawało jednak pytanie, jacy oni byli. Czy kogoś kochali? Czy może wszyscy byli tacy jak jego ojciec – potężni, wpływowi, zakochani we własnym uporze i przekonani, że jest on zaletą.

Nie mógł zakwestionować słów Marie, chociaż chciał to zrobić. Jego ojciec rzeczywiście uwielbiał stawiać na swoim i zawsze mu się to udawało. Miażdżył jak czołg każdego, z kim miał do czynienia, dopóki nie spotkał Marie.

Teo naprawdę nie miał pojęcia, jak mógł o tym zapomnieć.

Wstrząsnął się, myśląc o swoim zachowaniu od czasu przyjazdu Amelii. Zachowywał się tak, jakby ciąża była jej własnym dziełem, chociaż dokładnie pamiętał to, co wydarzyło się między nimi podczas maskarady. Ze wszystkimi szczegółami.

Uprowadził ją i zamknął w drewnianym domku na szczycie góry. Traktował ją jak służącą, co wprawdzie ona przyjęła zaskakująco dobrze, ale to przecież w niczym go nie usprawiedliwiało. I dopiero kiedy poszła z nim do łóżka, zaczął odnosić się do niej inaczej. Równie dobrze mógłby być tym wojowniczym księciem z okresu wczesnego średniowiecza, który zdobywał i łupił jedno miasto po drugim, aby zachować tytuł i pomnożyć majątek.

Teo nie wątpił, że potrafi być księciem, ostatecznie przygotowywał się do tego przez całe życie, ale jakim miał być mężem i jakim ojcem? Pragnął mieć Amelię taką, jaką była w górach i tutaj, gdy byli tylko we dwoje – gorącą i pełną pożądania.

Chciał być lepszym ojcem niż Luis Calvo, ojcem z prawdziwego zdarzenia, nie odległą postacią, która wydaje polecenia i oczekuje, że zostaną spełnione. Pomyślał o ukrytym w brzuchu Amelii synku, do

którego szeptał każdego ranka, i nagle dotarło do niego, że on też chce mieć wszystko.

Wszystko.

Co był gotowy dać w zamian? Amelia podarowała mu swoją szczerość i uczciwość. Przyjęła to, co nie tyle jej dał, lecz rzucił, z niezwykłą godnością i spokojem. Teraz, na myśl o tym, był gotowy upaść na kolana. Przyszła do niego i rzuciła się w jego ramiona. I nie chciała uwierzyć, że on nie odwzajemni jej uczuć.

Miłość.

Nie wiedział, czy miłością było to, co połączyło ich tamtej wrześniowej nocy. Nie, chyba nie była to miłość, lecz czyste pożądanie. Poznał ją wtedy, chociaż później wyparł się tego, a po jej odejściu wmówił sobie, że wszystko to w ogóle się nie zdarzyło.

Kiedy znowu zjawiła się w pałacu, powiedział sobie, że to zbieg okoliczności. Nawet gdy dowiedział się o ciąży i gdy wynik badania potwierdził jego ojcostwo, łatwiej mu było udawać, że go oszukała niż spojrzeć prawdzie prosto w oczy.

Jeszcze bardziej zdumiewało go to, że ona wiedziała o jego głupocie. Wiedziała o wszystkim – że okłamywał samego siebie i ją. I mimo tego nadal go kochała.

Stojąc na środku galerii, otoczony poważnymi twarzami ludzi, którzy przed nim budowali księstwo, uświadomił sobie, że chce być lepszym człowiekiem niż dotąd.

Że chce być człowiekiem, którego kochała Amelia. Przez całe życie, bo tak powiedziała.

Ten dom, ten wielki pałac, nie mógł mu w tym pomóc. Potoczył wzrokiem po portretach i zrozumiał, że zmarli książęta też nie przyjdą mu

z pomocą, pewnie dlatego, że chociaż potrafili trzymać coś w mocno zaciśniętej pięści, nie umieli wyciągać otwartej dłoni.

Nic, co tu się znajdowało, nie mogło służyć mu pomocą. Ale chyba wiedział, gdzie jej szukać.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

W noc przed ślubem Amelia postanowiła poważnie ze sobą porozmawiać. Doszła do wniosku, że po prostu musi to zrobić i najlepszym miejscem wydała jej się sypialnia, której progu Teo nie przekroczył od tamtej konfrontacji w jego gabinecie.

Miała wielką ochotę dać ujście wściekłości i rzucać rozmaitymi przedmiotami, tak jak często robiła to jej matka, nie była jednak taka jak Marie i chociaż satysfakcja płynąca z rozbicia jakiegoś wazonu czy czegoś w tym rodzaju musiała być niewątpliwie spora, to jednak prawda była taka, że… że Amelia tęskniła za Teem.

Na tym polegał cały problem. I wydawało się mało prawdopodobne, aby tym razem ulgę miała przynieść farba do włosów czy maska.

Zastanawiała się właśnie, czy jednak nie rzucić o ścianę bezcennym wazonem z przepiękną kompozycją kwiatową w środku, kiedy za jej plecami rozległo się dyskretne chrząknięcie.

Odwróciła się i ujrzała kamerdynera Tea, który obserwował ją z tą przedziwną mieszanką wyższości i uniżoności, chociaż teraz, kiedy lada chwila miała zostać księżną Marinceli, uniżoność zdecydowanie przeważała. Amelia była jednak w takim stanie, że nie sprawiało jej to najmniejszej przyjemności.

Rzuciła Teowi w twarz, że go kocha i że wyjdzie za niego, lecz psychiczne przygotowanie się na związek z człowiekiem, który twierdził, że nie odwzajemnia jej uczucia, było czymś znacznie trudniejszym. Musiała

przyjąć do wiadomości, że po ślubie zostanie tutaj u jego boku, na dobre i na złe, że stworzy z nim rodzinę, lepszą czy gorszą, i to niezależnie od tego, czy on będzie kochał ją samą oraz ich syna, czy też nie.

Na myśl o tej ostatniej możliwości robiło jej się słabo z przerażenia. Dosłownie.

– Książę prosi, by zechciała pani zaszczycić go swoją obecnością – uroczyście zaintonował kamerdyner.

Amelii nie chciało się nigdzie iść. Czuła, że wolałaby posiedzieć tutaj albo może jednak coś stłuc. Ślub miał się odbyć rano, w obecności jej matki, nie licząc księdza. Jak najbardziej dyskretnie, by za pięć miesięcy można było wydać zawiadomienie i o zawarciu związku, i o przyjściu na świat dziedzica, jak powiedział Teo.

Ponieważ książę Marinceli przed nikim nie musiał się tłumaczyć. Nie musiał aranżować publicznych występów – był przedstawicielem rodu de Luz, nie jakimś tam Windsorem.

Tak czy inaczej, było oczywiste, że przyjaciele Amelii nie będą mogli uczestniczyć w tej bardzo prywatnej uroczystości. Ludzie, których kochała i lubiła, ludzie, którzy ją też kochali i lubili. Teoretycznie rozumiała, dlaczego tak musiało być, i wiedziała, dlaczego jej przyjaciele też to zrozumieją.

Musiała tylko jakoś przeżyć ten wieczór i noc. Ciemną noc duszy przed pięknym porankiem. Teo uważał, że nie potrafi kochać nikogo, ze szczególnym uwzględnieniem jej samej. Przyjęła to jego wyznanie do wiadomości, ale to nie znaczyło, że ból zniknął bez śladu.

Więc chyba mogła pozwolić sobie na odrobinę smutku.

Podniosła się jednak i poszła za kamerdynerem, ponieważ nie chciała się nad sobą rozczulać, a była pewna, że uległaby tej pokusie, gdyby nie ruszyła się z miejsca. Służący poprowadził ją długimi korytarzami aż do

wejścia, pomógł wsiąść do czekającego samochodu i nieco teatralnym gestem podał jej kurtkę.

Kiedy szofer, zamiast skręcić na drogę wiodącą do głównej bramy, pojechał dalej, w głąb posiadłości, ogarnęło ją niepokojące przeczucie, które, jak się okazało, wcale jej nie myliło. Mniej więcej po kwadransie auto podjechało do należącego do Tea odrzutowca.

Nie pozostało jej nic innego, jak tylko wejść na pokład. Zimny wiatr szarpał jej włosy i zapuszczał lodowate palce pod kołnierz, kiedy powoli wspinała się po schodkach. Spodziewała się, że w środku zastanie Tea, po królewsku rozpartego na skórzanym fotelu, lecz w samolocie nie było nikogo poza załogą.

Na czas lotu Amelia miała kabinę tylko dla siebie i kiedy maszyna wylądowała na opuszczonym lądowisku w środku Pirenejów, była już na krawędzi wybuchu.

– Książę czeka na panią – poinformował ją kapitan, który właśnie wyszedł z kokpitu.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie odmówić opuszczenia samolotu, podejrzewała jednak, że mogłoby się to skończyć inaczej, niżby sobie tego życzyła. Teo niewątpliwie bez wahania wtargnąłby do samolotu i wyniósł ją na zewnątrz, gdyby uznał, że inaczej się nie da.

Wstała więc i wyszła na zewnątrz. Bezceremonialne uderzenie lodowatego zimna zaparło jej dech w piersi, tańczące na wietrze płatki śniegu osiadły na twarzy. Pomyślała, że w taką pogodę najlepiej jest siedzieć przy kominku z kubkiem jakiegoś gorącego napoju w ręku, ale przenikliwe zimno nie było jedynym zaskoczeniem, jakie ją czekało.

U stóp schodków czekał Teo, nieruchomy i najwyraźniej całkowicie odporny na trudne warunki atmosferyczne.

Amelia wzięła głęboki oddech i szybko zeszła na dół.

– Chyba oszalałeś, jeśli wyobrażasz sobie, że znowu będę się z tobą bawić w kopciuszka – rzuciła, nie zwracając uwagi na obecność pilota. – Ta zabawa jest przyjemna tylko wtedy, gdy wiadomo, jakie będzie zakończenie. Nie chodzi o to, żeby szorować podłogę i palić w kominku, chodzi o to, aby książę z bajki przyjechał po bohaterkę i zabrał ją do pałacu. Książę z bajki, rozumiesz? Nie ty.

W policzku Tea spazmatycznie zadrgał mięsień i narzeczony Amelii bez słowa wskazał jej zaparkowany z boku terenowy samochód. Otworzył drzwi od strony pasażera i patrzył na nią w milczeniu.

– Nie żartuję – powiedziała ze złością. – Nie będę…

– Chcesz się ze mną kłócić akurat teraz? – zagadnął niebezpiecznie spokojnym tonem. – Osobiście nie mam ochoty zamienić się tutaj w bryłę lodu, *carina*, i nie sądzę, by przypadło to do gustu naszemu synowi, ale dla ciebie zaryzykuję.

Amelia prychnęła lekceważąco i zajęła miejsce w aucie. Była przygotowana na trudną podróż, jednak kręta górska droga i tym razem zrobiła na niej wrażenie. W końcu dotarli na szczyt i Teo podjechał prawie pod sam ganek domku.

Tym razem śniegu było dużo więcej i wiatr wydawał się zimniejszy, więc wysiadając, ciaśniej otuliła się kurtką. Pomyślała, że znowu nie jest ubrana jak należy, bo jej okrycie było bardziej jesienne niż zimowe, a buty nadawały się na spacer po chłodnym i wilgotnym San Francisco, a nie Pirenejach w styczniu.

Jej wściekłość podsycały myśli o poleceniach, które Teo lada chwila zacznie jej wydawać, zaraz jednak przyrzekła sobie, że nawet nie ruszy palcem. Mógł sobie spokojnie hodować te swoje wygórowane oczekiwania, ale…

Ale on otworzył drzwi i przytrzymał je, przepuszczając ją do środka, i nagle całe jej rozdrażnienie rozwiało się jak mgła.

Bo w kominku wesoło trzaskał ogień, w pokoju panowało cudowne ciepło, a naftowe lampy napełniały wnętrze jasnym, migotliwym światłem. Amelia poczuła się jak w domu i z trudem przełknęła pęczniejące w gardle łzy wzruszenia.

– Przywiozłeś tym razem własną służącą? – spytała.

Nie chciała, by zabrzmiało to gorzko, a jednak tak się stało. Bez trudu wychwyciła tę nutę w swoim głosie.

– Jako służącą możesz traktować mnie – odparł z nieskrywanym rozbawieniem. – Ale ja jakoś nie widzę się w tej roli…

Przeszedł obok niej, zrzucił kurtkę i stanął obok kanapy. Tej samej, na której spała, w demonstracji nieco infantylnego uporu. Bo przecież wbrew własnej woli zakochała się w nim, najpierw jako szesnastolatka, a później znowu, ubiegłej jesieni.

– Nie rozumiem, dlaczego znowu mnie tu przywiozłeś – wykrztusiła niechętnie. – Szczególnie, że śnieg pada i pada… Co będzie, jeśli utkniemy w górach? Zapomniałeś, że rano mamy wziąć ślub?

– Boisz się tego? – zapytał.

Trafił w sedno, więc w odpowiedzi ściągnęła brwi, pokazując mu nieprzychylną, prawie wrogą twarz.

– Myśl, że mogłabym gdziekolwiek utknąć, w ogóle mnie nie bawi, po prostu – wycedziła.

– To nasz ślub, *carina*. Jeśli nie zdążymy, będą musieli na nas poczekać, prawda?

Wykonał zapraszający gest, lecz Amelia nie ruszyła się z miejsca. W jej głowie kłębiły się splątane, nieuporządkowane myśli, jak zwykle, gdy

chodziło o Tea. Patrzyła na niego bez słowa, a w jej piersi narastał wielki, wszechogarniający szloch.

Wiedziała już, że będzie go zawsze kochała i pogodziła się z tym, chciała jednak poświęcić ten wieczór, tylko ten jeden, na opłakanie tego, co nie miało szans się zdarzyć. Pragnęła przygotować się do ślubu z mężczyzną, który jasno powiedział, że nigdy jej nie pokocha. Nie do końca uwierzyła w jego słowa, ale jej wiara czy jej brak nie czyniły rzeczywistości lżejszą i łatwiejszą do zaakceptowania.

Ta sytuacja nie wróżyła jednak nic dobrego.

– Miałem nadzieję, że usiądziemy razem i spokojnie porozmawiamy – rzekł Teo w odpowiedzi na jej pełne niechęci spojrzenie. – Ale nie wyglądasz mi na osobę, która chciałaby usiąść obok mnie…

– Nie wiem, czego ode mnie chcesz, naprawdę. – Pokręciła głową, z trudem powstrzymując łzy. – Jeżeli oczekujesz, że znowu będę ci usługiwać, to musisz wiedzieć, że za pierwszym razem zgodziłam się na to wyłącznie dlatego, że miało to trwać krótko i że takiego dokonałam wtedy wyboru. Nie sądzisz chyba, że będziesz ściągał mnie tu zawsze, gdy podłoga będzie wymagała porządnego wyszorowania, czy coś w tym rodzaju…

– Przestań, Amelio.

Uderzył ją sposób, w jaki wypowiedział jej imię – jakby kryło w sobie piękną melodię, którą tylko on potrafi odtworzyć.

Podszedł do niej, nie odrywając wzroku od jej twarzy.

– Nie chcę, żebyś szorowała podłogę – powiedział cicho. – Nie musisz robić nic, czego byś nie chciała.

Wzięła głęboki oddech. Próbowała coś wykrztusić, lecz natychmiast okazało się, że nie może wydobyć głosu z gardła.

Teo stanął przed nią i na jej zdumionych oczach uklęknął na podłodze, którą niedawno tak pracowicie myła. Serce o mały włos nie wyskoczyło jej z piersi.

– Co robisz? – wyszeptała ochryple.

– Zmusiłem cię, żebyś zgodziła się za mnie wyjść. – Patrzył jej prosto w oczy. – A ty się zgodziłaś, wykazując się wielką dobrocią i wyrozumiałością. Dzisiaj doszedłem do wniosku, że muszę poprosić cię o rękę.

Gdyby był kim innym, pewnie wyglądałby na upokorzonego, lecz on pozostał dumny i opanowany. Amelia miała wrażenie, że świat zatrzymał się na chwilę, zaskoczony tak samo jak ona.

Wiedziała jedno – wszystko się zmieniło, a Teo, dziewiętnasty książę Marinceli, klęczał przed nią. I patrzył na nią z takim wyrazem twarzy, jakby to ona była całym jego światem.

Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej pierścionek, bez puzderka, opakowania czy wstążeczek. Cóż, ten pierścionek nie wymagał żadnych dodatkowych ozdób. Przez głowę Amelii przemknęła myśl, że być może o takie właśnie pierścienie toczono dawniej bitwy. Biorąc pod uwagę, kto teraz trzymał go na dłoni, i w tym przypadku wydawało się to całkiem prawdopodobne.

– Należał do dwunastej księżnej – Teo uniósł rękę i światło lampy zalśniło w drogich kamieniach. – Ta dama wybierała tylko najpiękniejsze ozdoby i przedmioty, najważniejsze jest jednak to, że zasłynęła ze zdecydowanej odmowy poślubienia dwunastego księcia. Uraczyła go rekuzą trzy razy, jak głosi historia. Po trzeciej porwał ją, lecz zgodziła się wyjść za niego, dopiero gdy zaszła w ciążę.

– Wiele wskazuje, że to dziewczyna po mojej myśli – wydusiła Amelia przez obolałe gardło, przerażona, że lada chwila się rozpłacze.

– Dwunasty książę i jego księżna długo żyli razem i podobno bardzo się kochali.

Gdy ujął jej dłoń, zupełnie zabrakło jej tchu.

– Całe życie uczyłem się, jak być księciem – zaczął powoli. – I to nie jakimś tam księciem, ale księciem Marinceli. Jak dorównać tym wszystkim historiom i legendom, wszystkim przodkom, którzy budowali księstwo i powierzyli mi je. Nie ma takiej rzeczy, której nie wiedziałbym o moich posiadłościach, moich rezydencjach i drzewie genealogicznym, jednak ucząc się tych rzeczy, nigdy nie zadałem sobie pytania, jak zostać normalnym, uczciwym człowiekiem.

Amelia zachłysnęła się łzami i poderwała dłoń do ust, by to ukryć.

– Nie wiem, czy potrafię nim być – ciągnął Teo. – Naprawdę nie wiem, czy to możliwe, bo przecież tak długo ignorowałem tę część mojego charakteru, ale powiem ci jedno – chcę być uczciwy i przyzwoity, dla ciebie. Chcę się stać lepszy, niezależnie od tego, ile mnie to będzie kosztować, ponieważ ty na to zasługujesz.

Łzy wreszcie popłynęły, lecz Amelia nawet nie próbowała ich ocierać. Pozwoliła im płynąć, zupełnie jakby uczestniczyła w czymś w rodzaju chrztu, jej i Tea.

– Poznałem cię wtedy we wrześniu – wyznał. – Wiedziałem, że to ty, ale z rozmysłem wyparłem tę świadomość. Wmówiłem sobie, że się pomyliłem, że tylko tak mi się wydawało, lecz było to kłamstwo, oczywiście.

Pieszczotliwie musnęła palcami jego gorący policzek i zdobyła się na drżący, niepewny uśmiech.

– Sądzę, że mój ojciec kochał jedynie swoją pozycję – ciągnął. – Musiałem cofnąć się o wiele pokoleń, żeby odnaleźć dwunastego księcia i księżnę, bo przecież, jak ci wiadomo, przedstawiciele rodu de Luz nie

zwierają małżeństw z miłości. Jednak ja chcę właśnie takiego małżeństwa. Chcę cię poślubić i razem z tobą wychować nasze dziecko, z miłości i z miłością. I mówię to jako człowiek, który nie ma pojęcia, czy jest do tego zdolny…

– Naturalnie, że jesteś do tego zdolny – przerwała mu gwałtownie. – Jesteś dziewiętnastym księciem Marinceli, czyż nie? Jesteś zdolny do wszystkiego i wszystko możesz, to jasne.

– Chcę w to wierzyć, ze wszystkich sił. – Teo ukrył twarz w jej otwartej dłoni. – Jeżeli ty nie przestaniesz we mnie wierzyć, rzeczywiście mogę wszystko.

I wsunął jej na palec pierścionek z niewiarygodnie dużym szafirem, obramowanym brylantami i rubinami, który, o dziwo, pasował jak ulał. Z piersi Amelii wyrwał się zdławiony szloch.

– Czy zgodzisz się za mnie wyjść? – zapytał. – Czy zostaniesz moją księżną? Czy nauczysz mnie, jak być lepszym człowiekiem i będziesz mnie upominać, gdy zboczę z właściwej drogi, i przypominać mi, że jestem przede wszystkim mężem i ojcem, a dopiero potem księciem?

Amelia nie mogła uwierzyć, że nie śni, ale ciężar pierścionka i błysk klejnotów wyraźnie świadczyły, że znajduje się w świecie jak najbardziej rzeczywistym.

– Nigdy nie przestanę cię kochać – obiecała uroczyście. – I zawsze będę poczytywać to sobie za zaszczyt.

– Kocham cię – rzekł Teo i wtulił twarz w jej brzuch. – I ciebie także, *hijo mio*…

I uśmiechnął się, naprawdę szczerze i otwarcie, a wtedy Amelia także osunęła się na kolana, żeby być jak najbliżej niego, mężczyzny, który rzucił cień na całe jej życie i dopiero teraz nasycił ten cień blaskiem szczęścia.

– Kocham cię – wyszeptała.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Śnieg padał przez parę dni bez przerwy, utknęli więc w górach i w rezultacie ślub opóźnił się o cały tydzień.

Ani panna młoda, ani pan młody nie wydawali się tym szczególnie zmartwieni.

Teo czekał na Amelię przy ołtarzu małej średniowiecznej kaplicy i serce biło mu jak szalone, gdy szła ku niemu powoli, z uśmiechem na twarzy. Jej fiołkowe oczy lśniły miłością i szczęściem.

Przyrzekła mu, że będzie jego żoną, na zawsze.

On złożył tę samą przysięgę. I zamierzał jej dotrzymać, nawet gdyby własnymi rękami miał rozebrać swoją monstrualnie wielką rezydencję, kamień po kamieniu i cegła po cegle.

Miesiące mijały i Amelia stawała się coraz cięższa. W końcu zaczęła żartować, że może potrzebować wózka do sprzętu do golfa, aby swobodnie przemieszczać się po wielkim pałacu.

– Śmiganie mechanicznym pojazdem po rodowej siedzibie to coś poniżej godności księżny Marinceli, *carina* – odpowiedział Teo chłodnym, wyniosłym i sztywnym głosem, którego lubił używać, ponieważ skutecznie rozśmieszał nim żonę.

Uwielbiał jej śmiech.

– Wobec tego mogę tylko mieć nadzieję, że taszczenie mnie z miejsca na miejsce nie jest czymś poniżej godności księcia Marinceli – oświadczyła księżna.

– Wręcz odwrotnie, to przywilej księcia.

Niecierpliwie wyczekiwany i bardzo kochany dwudziesty książę Marinceli przyszedł na świat w domu, w ogromnym apartamencie przeistoczonym w klinikę porodową dzięki staraniom jego ojca. Dwudziesty książę kompletnie nie przejmował się kwestią godności. Był duży, zdrowy i bardzo, bardzo głośny.

Lata mijały. Teo i Amelia nie zawsze się zgadzali, lecz zawsze kłócili się za zamkniętymi drzwiami, żeby nie zasmucać i nie straszyć dzieci. Godzili się także za zamkniętymi drzwiami, ponieważ niezależnie od tego, co ich poróżniło i jak bardzo byli na siebie wściekli, płonący w ich sercach ogień nigdy nie wygasł.

Ich rodzina powiększała się – mieli trzech synów i dwie córki, a księżna powtarzała, że da sobie spokój dopiero wtedy, gdy się zmęczy.

Jak na razie zmęczenia nie czuła ani ona, ani jej małżonek.

Kiedy w sercu któregoś z nich rodziła się obawa, że za bardzo oddalają się od siebie, wyjeżdżali na parę dni. Weekend tu, dziesięć dni tam, a potem zawsze wracali do drewnianego domku w Pirenejach i przypominali sobie, kim naprawdę są.

– Kocham cię – powiedział Teo pewnego poranka, gdy obudzili się przy wciąż tlącym się w kominku ogniu. – Teoretycznie to chyba niemożliwe, lecz moja miłość do ciebie ciągle rośnie.

– Na tym polega magia bajek. – Amelia z uśmiechem położyła głowę na jego piersi.

– Przecież magia nie ma z tym nic wspólnego, skarbie – odparł cicho. – To tylko ty i ja. Ty jesteś dla mnie najważniejsza.

– Ja też cię kocham – szepnęła. – Tak czy inaczej, czasami warto czytać bajki, ponieważ ich zakończenie jest zawsze takie samo: „I żyli długo

i szczęśliwie”. Nie ma tam mowy o paskudnych rozwodach ani innych związkach dwojga bohaterów. Nie, oni żyją długo i szczęśliwie, bo ich miłość rośnie. Jeśli nie rośnie, to po prostu nie jest to prawdziwa miłość.

– Zabawne… Nigdy nie słyszałem o tej regule.

– Trzymaj się mnie – powiedziała Amelia z błyskiem w fiołkowych oczach. – Jestem księżną Marinceli, moje słowo to prawo.

Jej słowo bez wątpienia było prawem dla Tea, nie był jednak aż tak szalony, by codziennie utwierdzać ją w tym przekonaniu.

Zwłaszcza że ich miłość na pewno była prawdziwa.

SPIS TREŚCI:

OKŁADKA
KARTA TYTUŁOWA
KARTA REDAKCYJNA
ROZDZIAŁ PIERWSZY
ROZDZIAŁ DRUGI
ROZDZIAŁ TRZECI
ROZDZIAŁ CZWARTY
ROZDZIAŁ PIĄTY
ROZDZIAŁ SZÓSTY
ROZDZIAŁ SIÓDMY
ROZDZIAŁ ÓSMY
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY
ROZDZIAŁ JEDENASTY
ROZDZIAŁ DWUNASTY
ROZDZIAŁ TRZYNASTY